

AS

Nr. 23

7 CZERWCA 1936 R.
CENA 40 GROSZY.

PRZED ODLOTEM W OBŁOKI...
GLADYS SWARTHOUT
GWIAZDA „PARAMOUNT'U

KONKURS na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki

Na życzenie naszych Czytelniczek prolongujemy „Konkurs na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki" i wyznaczamy definitywną datę jego zamknięcia na dzień 1 września b. r.

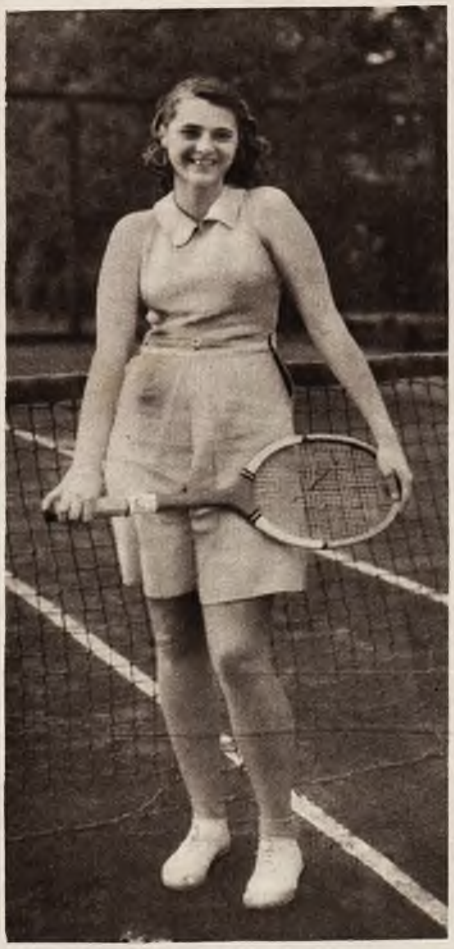
Przypominamy, że w konkursie biorą również udział wszystkie sporty wodne, a więc pływanie, wioślarstwo, skoki do wody, aquaplaning, żeglarstwo.

Kupon do głosowania znajdą Czytelnicy na stronie 30 niniejszego numeru.



Zofja hr. Chodkiewiczówna Warszawa.

Poniżej: „M. I." — Łódź.



Poniżej: P. Iza K. — Kraków.





Na lewo: P. Irena Szczypiorowska, Poznań

W kole: P. Wanda Dubieńska, Kraków

Poniżej: P. Jadwiga Krużanka-Reissowa — Wilno.





ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 23 — **Niedziela 7 czerwca 1936** — **Rok II**

ASY NUMERU 23-GO:

GOBELINY — NAJDROŻSZE TKANINY ŚWIATA.
Chlubą wyrobów artystycznych przeszłości są gobeliny, które mimo postępu techniki nie znalazły dotychczas odpowiedniego rywala. Str. 4—5.

▼

STARODAWNE „TEATRUM" W MURACH KRAKOWA.
O tem, jak od najdawniejszych czasów hołdowano sztuce scenicznej, przechodzącej przez najrozmaitsze fazy rozwojowe. Str. 6—7.

▼

POCZUCIE WŁASNOŚCI U ZWIERZĄT.
Ciekawe obserwacje wykazujące, że zwierzęta posiadają podobną psychologję, jak ludzie. Str. 8.

▼

W ROCZNICĘ „SIMU".
O kawiarni stołecznej, która zarazem jest placówką artystyczną, oraz o jej założycielce, p. Raczyńskiej-Arciszewskiej. Str. 11.

▼

TRZECH MUSZKIETERÓW BIAŁEGO SPORTU.
Cochet, Lacoste, Borotra — asy francuskiego tenisu. Str. 14—15.

▼

GINGER I FRED...
Jak para słynnych tancerzy tworzy nowy taniec na podstawie modnego przeboju muzycznego. Str. 16—17.

▼

Z MOTORKIEM O SILE 2 H. P...
Rady i wskazówki dla amatorów zmotoryzowanego sportu kajakowego. Str. 19—20.

▼

Nasz przebój muzyczny:
TAŃCZ...
Walc, kompozycji Feliksa Głowackiego, w układzie fortepianowym F. Pasikowskiego. Str. 22.

▼

Powieść. — Nowela. — Konkurs na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki. — Życie towarzyskie i artystyczne. — Kącik praktycznej pani domu. — Koronki klockowe. — Dział gospodarstwa domowego. — Humor i rozrywki umysłowe. — Na scenie. — Nowe książki. — Program radjowy.



Fot. Scherl — Berlin.

Wśród licznych południowo-niemieckich uniwersytetów, największą sławę zyskał dzięki wykładom wybitnych uczonych uniwersytet w Heidelbergu. Założony w r. 1386, t. j. prawie równocześnie z Uniwersytetem Jagiellońskim, stał się on jednem z ognisk nauki i kultury umysłowej Niemiec, przyczem wiele zawdzięczał książętom badeńskim, a zwłaszcza Kurfürstowi Ruprechtowi I. i ks. Karolowi Fryderykowi, dlatego też nosi nazwę „Ruperto-Carola". W ostatnich czasach ambasador U. S. A. w Berlinie Jakób Gould-Shurman, przyczynił się do rozbudowania gmachów uniwersytetu, który dzięki niemu może pomieścić znaczną ilość słuchaczy. Zarówno samo miasto, jak też budynki uniwersytetu przedstawiają wielką zabytkową wartość jako pozostałość dawnej niemieckiej architektury. Na zdjęciu na pierwszym planie wieża starej bibljoteki, na prawo zaś od niej „wieża czarownic", z którą łączą się budowle ostatnio wzniesione. Z okazji 550-lecia uniwersytetu przewidziane są liczne uroczystości.

GOBELINY

najdroższe tkaniny świata



Bezcenne arrasy zdobią Katedrę wawelską.

W jednym z starych zamków francuskich można było jeszcze w XVIII wieku podziwiać wspaniały gobelin przedstawiający scenę z Potopu: na wzburzonych falach morskich unosi się olbrzymia arka Noego, z której wygląda sam jej budowniczy, na skrawku zaś lądu, którego jeszcze woda nie zalała, widać dworzanina w stroju o kolorach herbowych książąt de Croy, niosącego pod pachą dużą szkatułę. Podpis gobelinu brzmiał: „Venez donc mon ami, vous avez oublié de prendre les papiers de la maison de Croy!" — Wróć się, przyjacielu, zapomniałeś zabrać papiery książąt de Croy! Inny, niemniej piękny, należał do rodziny książąt de Lévy, których tradycja wywodziła od domu dawidowego. Przedstawiał on Matkę Boską, a przed nią klęczącego jednego z reprezentantów tej rodziny, zdejmującego kapelusz z głowy. Legenda gobelinu była następująca: „Couvrez vous mon cousin", mówi Matka Boska, na co pan de Lévy odpowiada: „Mercy, ma cousine, c'est pour ma commodité!" — Nakryj głowę, kuzynie! — Dziękuję, kuzynko, czynię to dla wygody! Replika tego gobelinu istniała podobno w zbiorach XX. Czartoryskich, wspomina o tem uczony autor „Encyklopedji Staropolskiej", Gloger. Wspomniane gobeliny są nietylko „białymi krukami" ludzkiej próżności, ale przedewszystkiem bardzo ciekawym przyczynkiem do psychologji w zakresie sztuk pięknych w przeszłości.

Przedewszystkiem tematy tych gobelin są nieomal klasyczne: sceny biblijne, rodzinne tradycje i postacie świętych. Jeżeli dodamy do tego jeszcze dużo kwiatów, ten ulubiony motyw wszystkich czasów, sceny mitologiczne, dużo herbów, ornamenty w liczne esy-floresy, to mamy mniej więcej cały repertuar starych gobelinów, skądkolwiek by nie pochodziły. Przywiązywano do nich wielką wagę: nic zresztą dziwnego, były przecież najbardziej cennem i efektownem „objet d'art" mieszkania ówczesnych ludzi. Jeżeli dzisiaj skromne mieszkanie współczesne posiada wiele drobiazgów, kupionych za kilka złotych, różnych cacek z porcelany, szkła, drzewa, jakieś figurynki, kieliszek, patery, figielki i t. d. to w przeszłości tych drobiazgów „seryjnych" nie było. Na szczęście dla sztuki i poczucia smaku artyści ówcześni nie byli producentami „standaryzowanych" przedmiotów, lecz robili na zamówienie dobrze i... mało! Mieszkanie człowieka XVI, XVII, czy nawet XVIII wieku było raczej puste, posiadało tylko rzeczy koniecznie potrzebne, albo też, jeżeli chodzi o przedmioty artystyczne, tylko „kawałki" reprezentacyjne. Oto różnica między dzisiejszymi i ówczesnymi poglądami: wtedy chodziło o rzeczy trwałe, mające swą wymowę jako pamiątki rodzinne, które przetrwają setki lat, dziś każdy chce urządzić sobie mieszkanie indywidualnie, chce aby dany przedmiot reprezentował tylko jego gust i niczyj więcej. Któż dzisiaj kupując taki czy inny obraz, porcelanę czy szkło myśli o tem aby ono stanowiło też dla jego potomków ozdobę i chlubę? Dzisiaj myśli się tylko na przeciąg lat trzydziestu lub czterdziestu, dawniej na okresy stu czy dwustu lat. Gdy więc zamawiano taki gobelin chciano wyrazić w nim rzeczy nie przemijające tak łatwo, i zawsze aktualne.

Zakochany w żywych barwach renesans, hołdujący bogactwu materjałów barok, i czułe na wytworny gust i gatunek materjałów rokoko, na wielką skalę rozwinęły wyrób gobelinów i wszelkich innych tkanin, służących do pokrywania i dekorowania ścian. Zamiłowania ludzi ówczesnych podobne były nieraz do upodobań kobiet: wszak i mężczyźni, nawet najpoważniejsi, kochali się w klejnotach, drogich materjałach, piórach, złotych i skórzanych wyrobach, któremi obwieszali się do niemożliwości. Dzisiaj wiele z tych materjałów wogóle wyszło z obiegu, a użycie ich jest niezrozumiałe. Wzór i gatunek zastępuje się dzisiaj często doborem kolorów, linją, kompozycją całości. Dawniej lubowano się w dobrym wyrobie, kosztownym, realnym przepychu, gdy dziś nieraz mamy przepych „na niby". Tam, gdzie dziś łatwo można dać tapety lub poprostu pomalować odpowiednio ścianę, dawniej zawieszano opony z kosztownej materji, zwane „szpalerami", ro-



Jeden z gobelinów wawelskich, przedstawiający scenę biblijną — Kaina zabijającego Abla.



Na lewo: Szpaler gobelinowy, który należał do Stefana z Pilcy Korycińskiego kancl. w. k.

bione też nieraz z brokatelu. Pokoje obijano często płóciennemi „kołtrynami", malowanemi ręcznie w drzewa, kwiaty i zwierzęta. Najkosztowniejsze były tak zw. „dzieśnie", właśnie „gobeliny", to jest tkane według kartonów artystów materje, wszystkie zaś te gatunki ściennych obić nazywano w dawnej Polsce „szpalerami". Jak bogato się to przedstawiało, jaki przepych panował w bogatych domach polskich i zagranicznych o tem dowiadujemy się z ówczesnych pamiętników i opisów.

Wystarczy trochę pogrzebać w starych aktach grodzkich lub miejskich, aby na każdym nieomal kroku natrafić na wzmianki o szpalerach, obiciach malowanych w różne wzory, o licznych wyrobach tekstylnych, któremi dekorowano nietylko ściany, ale też meble. Oto np. w dworze w Myszkowie własności Jana Rostworowskiego, herbu Nałęcz, w parafji Kaźmierz w Wielkopolsce, według ówczesnego opisu: „...sam pokój obity wszytek malowanem suknem, w różne ,także osoby", a po staroście średzkim Piotrze Samuelu Grudzińskim, herbu Grzymała pozostały obicia: szpalerów białych z historją Samsonową osiem, szpalerów lazurowych z historją Cyrusową sztuk sześć", nadto kobierców perskich dziesięć i tyleż kobierców purpurowych, a dwa kobierce „dywańskie"



Gobelin z XVI-go wieku, z scenami z życia Adama i Ewy — zbiory wawelskie.



Na lewo: Gobelin bisk. Michała Gniewosza, znajdujący się obecnie w Szwecji.

W majątku Stajkowie należącym do Jana i Krzysztofa Rokossowskich, herbu Glaubicz, w r. 1647 ściany były różnie obite. Widzimy tam jedną „szpalerę" z kwiatkami, drugą z osobą Samsona, trzecią z osobą królowej Asswery, jeszcze inna ma herb Nałęcz i Łódź, z królewską osobą. Są tam też inne, np. „szpalera długa z historją faraona z Józefem, szpalera z historją Lota z żoną, szpalera, na której koronacja królewska jest" i t. d. Szpalery niektóre bywały napół jedwabne. Jak widzimy z przytoczonych cytatów gobeliny we wszelkich odmianach stanowiły jeden z najważniejszych elementów ozdoby domu ludzi XVII wieku.

Oczywiście, że ton nadawał tu zachód, przynajmniej jeżeli chodzi o właściwe gobeliny. Przecież ten rodzaj tkaniny wziął początek wprawdzie na wschodzie, gdzie zwany był „kilim", (stąd nasza nomenklatura obecna wyrobów ludowych), ale dopiero na zachodzie, we Francji, Burgundji, Flandrji, i t. d. doszedł on do właściwego rozwoju. Samo słowo gobelin wywodzi się od pewnego paryskiego farbiarza Gilles Gobelin, żyjącego w XV wieku, którego potomkowie założyli manufakturę w r. 1667. Zależnie od miejsca wyrobu przyjmowały one różne nazwy np. znane były gobeliny z Arras (XVI. wiek), w Aubusson, Beauvais itd. Jak wiadomo król Ludwik XIV. założeniem Wersalu i innych pałaców, ale też jego następcy rozkochani w zbytku i wykwincie, wysoce przyczynili się do rozrostu tego przmysłu we Francji. Wzór Wersalu naśladowany przez całą arystokrację posiadającą liczne pałace w Paryżu, niemało wzbogacił nietylko tę ga-

(Dokończenie na str. 31-ej).

W sali „Rewji Wojskowej" na Wawelu znajduje się gotycki arras z XV-go wieku, przedstawiający dzieje Lohengrina.



STARODAWNE „TEATRUM"

W ★ MURACH ★ KRAKOWA

Piętnaście lat temu na zjeździe oświatowym w Toruniu, znakomity teatrolog polski prof. dr. Mieczysław Limanowski w referacie: „Wychowawcze znaczenie teatrów ludowych", tak ujął zagadnienie teatru polskiego, związanego z zasadniczemi wypadkami naszych dziejów: „historyczna przeszłość nasza w formie faktów przypomina rośliny w zielniku zasuszone i opatrzone etykietami — jakżeż czarownem będzie rośliny te ożywić i nadać im zieleń zpowrotem!"



Scena i aktorzy w średniowiecznym teatrze według ilustracji z r. 1496

Profesor Limanowski był ojcem duchowym Reduty i tam właśnie pokazał, że nie rzuca swych teorji na wiatr, ale dąży do jak najpełniejszej ich realizacji. Tak powstała słynna inscenizacja „Księcia Niezłomnego" na ruinach zamku książąt nowogródzkich i inscenizacje misteryj w różnych miejscowościach Kresów Wschodnich. Pod jego wpływem wystawiał Benda „Hamleta" w gotyckich murach ratusza toruńskiego.



W miasteczku Carcassonne we Francji urządzono kilka lat temu średniowieczne widowisko celem upamiętnienia 2000-lecia istnienia miasta.



Studenci Sorbony paryskiej odgrywają w podworcu uniwersytetu sztuki starożytnych klasyków.

Kraków obdarzony najwspanialszem tłem historycznem w Polsce, nie zaniedbał i tej tak ważnej dla naszego teatru dziedziny. Wspomnę tu tylko kilka najpoważniejszych imprez, jak widowiska wawelskie (Odprawa posłów greckich, Żywe szachy, Misterja, Książę Niezłomny), misterja w kościele OO. Franciszkanów i ostatnio widowiska na dziedzińcu starej bibljoteki Jagiellońskiej. Najczęściej wykorzystywany w latach ubiegłych widowiskowo był dziedziniec Nowodworskiego.

Kraków posiada jednak przedewszystkiem odwieczne tradycje teatralne. Do jakich należy w pierwszej linji „Lajkonik", dalej „Wianki" i wiele pomniejszych obrzędów ludowych.

Najbogatsze tradycje teatralne wiążą się z Uniwersytetem Jagiellońskim. W najbardziej znanem intermedjum staropolskim „Z chłopa król" jeden z aktorów mówi:

„Trzebaby tu, jak mniemam, studentów krakowskich,
Albo komedjantów jakich sławnych włoskich".

W Krakowie powstaje więc pierwsza kompanja teatralna, złożona ze studentów uniwersytetu. Zyskała ona rozgłos ogólnopolski. Znane nam jest nawet nazwisko owego pierwszego polskiego reżysera tego teatru Szymona z Łowicza. Studenci zwyczajem owoczesnym grali sztuki łacińskie, jak np. w roku 1516 wystawili wobec króla i królowej dramat „Ulyssis prudentia in adversis". W roku zaś 1522 sztukę Jana Lochera „Iudicium Paridis de pomo aureo".

Z pośród autorów antycznych cieszył się wówczas największem powodzeniem Plaut i Terentius Afer i w pewnym stopniu Seneka, a z autorów greckich Eurypides, którego dalekie echo spotykamy w „Żywocie Józefa" — Mikołaja Reya.

Nietylko dzielnica uniwersytecka dawnego Krakowa była źródłem widowisk teatralnych, ale był nią przedewszystkiem Wawel, jako rezydencja królów, z których niejeden był szczególnym miłośnikiem sztuki scenicznej, jak np. Władysław IV. Króla tego można nazwać śmiało pierwszym naszym reżyserem operowym. Stworzył on zarówno pracą swoją, jak znawstwem i zamiłowaniem jak najświetniejszy wzór dla wszystkich reżyserów polskich.

Obok tego oficjalnego, że tak powiem, „rządowego" i uniwersyteckiego teatru, rozwijał się bogato samorodny teatr ludowy. Najsłynniejszym tego teatru owocem była komedja rybałtowska. Narodziła się ona na krakowskim Kleparzu. Twórcami jej i aktorami byli jak zawsze żywotni, mówiąc po dzisiejszemu, „zredukowani" nauczyciele szkół powszechnych. Dała ona szereg znamienitych sztuk, których żywotność okazał kilka lat temu teatr im. Żeromskiego pod kierownictwem Ireny Solskiej. Na dzisiejszym Kleparzu ta świetna tradycja poszła od kilku wieków w zapomnienie. Mogłaby ona ożyć na nowo, zwłaszcza wykorzystując pobliski, świetny objekt widowisk teatralnych, jakim jest Barbakan, pamiętający dobrze, dzieje i czyny dawnych aktorów-rybałtów. Komedja rybałtowska zawiera w sobie dowcipny i zawsze aktualny wątek polityczny. Wątek ten mógłby dziś ulec odpowiedniemu do czasu i chwili odnowieniu i dostosowaniu.

Rybałci grali również „moralitety", sięgające swą tradycją w głąb średniowiecza, przedstawiające wady i przywary ludzkie. Niektóre „moralitety" odnosiły się do życia ówczesnego i pod postacią alegorji wyrażały wskazówki

i „praecepta poczciwego" żywota człowieczego. Inne czerpały swój materjał z przeróbek pisma świętego, inne wreszcie z legend starożytnych. Ale największem powodzeniem cieszył się cykl „moralitetów" bacchicznych, nicoceniona kopalnia staropolskiego humoru pijackiego.

Osobny jakby dział teatru stanowiły „intermedja", polska „comedia dell'arte", pełna dowcipów aktualnych, wywodząca swój rodowód od antycznych jeszcze zabaw oskijskich. Przedstawiały one zarówno sławnego „dottore", jak i żołnierza samochwała, komicznego cudzoziemca, niedołężnych amantów, niepewnych indywiduów jak „Skoczylasa" i innych. Około pisanego tekstu oplatała się samorodna improwizacja aktorów, był to prawdziwy teatr „in statu nascendi". Nawet jarmarki owoczesne odbywające się na Rynku Głównym, Małym lub na innych placach miasta, były miejscem występów aktorów kuglarzy, zwanych błaznami lub frantami. Potrafili oni sztuką własną rozbawić całe rzesze i nieraz zręcznie i umiejętnie skomponować niejeden tekst sceniczny, jak np. wystawionego niedawno w Krakowie „Dziewosłęba dworskiego". Autor jego, Maciek Pochlebca, wykazał tam zarówno, że jest dobrym poetą jak i pisarzem scenicznym.

Dawny historyk naszego teatru Kazimierz Władysław Wójcicki jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku starał się udowodnić starożytność naszego teatru. Najdawniejsze wprawdzie teksty zachowane nie sięgają XIV wieku, ale pierwsze wzmianki mówią nam, że już w XII wieku były grywane dialogi i inne widowiska sceniczne. „Tak w roku 1194 grany był dialog przed panami, dla utulenia żałoby, i rozerwania smutku ze śmierci Kazimierza Sprawiedliwego". Za Leszka Białego, wedle Wójcickiego, „zagęszczają się widowiska teatralne w Polsce. Wyprawiają je po kościołach, występują na scenę maski, biorą w nich udział duchowni. Papież Innocenty III, gromi te nadużycia". Teatr ten musiał się dalej rozwijać pomyślnie, gdyż w XVI wieku, jak wskazują rozliczne wzmianki, znajduje się on w momencie jak najpomyślniejszego rozkwitu. Obok wspomnianych powyżej widowisk rozwija się przedewszystkiem bogato wszelaki teatr, związany z życiem religijnem, a zwłaszcza z poszczególnemi uroczystościami i świętami roku kościelnego.

Tak istnieją misterja związane z Bożem Narodzeniem, mające swe zaczątki z pewnością w czasach bardzo dawnych. Misterjom tym, nadał nowe życie zakon Franciszkanów, który otoczył je szczególną opieką w XVII i XVIII wieku. Do tej chwili spoczywają w rękopisach, polskie teksty pastorałkowe z owych czasów, czekające na nowych inscenizatorów.

Drugi wielki cykl misterjów związany był z Wielkim tygodniem i zachował się w szeregu zabytków, między innemi w znamiennym utworze Wilkowieckiego „Historja o zmartwychwstaniu Pańskiem".

Trzeci wreszcie cykl obejmował zabawy i misterja na Wniebowstąpienie i Boże Ciało. Z niemi wiąże się znana anegdota cytowana przez Wndakiewicza, że „gdy Władysław Jagiełło w roku 1402 był na uroczystości Wniebowstąpienia w farze poznańskiej i nagle ujrzał, jak według starożytnego zwyczaju, chłopcy figurę Zbawiciela w górę podnosili, to miał się zapytać dworzan: — Co to za obraz wyciągają"? Gdy się dowiedział, że Boga, miał polecić, żeby zapalono przed Nim jedną świeczkę. Gdy zaś potem ze szczytów tejże świątyni rzucono djabła w postaci smoka, Władysław nie rozumiejąc całego tego widowiska, pytał się co to ma znaczyć, a potem kazał przed smokiem zapalić dwie świeczki. Dworzanie zwrócili zdziwione oczy na króla, a wtedy król odezwał się po polsku: „Służ Bogu a djabła nie gniewaj". Podobne widowisko wyciągania posągu Chrystusa na wieżę, a rzucania djabła na ziemię i włóczenia go po placu odbywało się w kościele Marjackim, gdzie z najwyższego szczytu wieży spadała figura djabła, którą później gawiedź włóczyła po ulicach miasta.

Każdy niemal zabytek, każdy zakątek dawnego Krakowa łączy się z jakimś ciekawym obyczajem, widowiskiem lub obrzędem. Powoli, przy dalszym rozwoju „Dni Krakowa" i wzroście kultu dla jego przeszłości, można będzie rekonstruować coraz doskonalej dawne obrzędy i widowiska wzbogacając je tu i ówdzie umiejętnie nowym, dostosowanym do charakteru miasta obyczajem.

Dr Wł. Dobrowolski.



Krużganki Bibljoteki Jagiellońskiej nadają się wyjątkowo dobrze do widowisk średniowiecznych.



Na lewo: W czasie Wielkiego Kiermaszu odegrano w ub. roku w ogrodzie profesorskim intermedium Maćka Pochlebcy „Dziewosłąb dworski".

Poniżej: Fragment widowiska „Kopernik" L. H. Morstina na podworcu Bibljoteki Jagiellońskiej.



Czy istnieje u zwierząt poczucie własności?



Poczucie własności jakie u zwierząt czasem spotykamy jest bardzo prymitywne i stąd trudno je nawet porównywać z analogicznemi pojęciami człowieka. Źródło jednak powstania zmysłu własności zarówno u człowieka jak i u zwierząt bywa jednakowe. Jest nim walka o byt i chęć zabezpieczenia raz zdobytego dobra przed jego odebraniem.

Człowiek, na poparcie swych praw własności wytworzył ustawy, wytworzył pojęcia etyczne i t. d. Pojęcie własności jest więc u człowieka bardziej idealne i ucywilizowane, gdy tymczasem u zwierząt przejawia się w brutalnych pierwotnych formach. Ogólnie zwierzęta mają poczucie własności do legowiska, zdobyczy i do obszaru, gdzie polują. Pojęcie własności przechodzi też i na inne przedmioty u zwierząt domowych i trzymanych w niewoli. Psy n. p. doskonale znają swoją miskę, lub kaganiec, a nawet rzeczy swego pana, dzięki czemu tak doskonale nadają się do pilnowania. Zwierzęta trzymane w niewoli mają też wyrobione poczucie własności.

Darwin w jednem ze swych dzieł przyrodniczych podaje taki opis zwyczajów pewnej małpy trzymanej w ogrodzie zoologicznem. „Pewna małpa, mająca zęby zepsute, używała kamieni do tłuczenia orzechów. Dozorcy zaręczali, że małpa kamień ten chowała w słomę i nie pozwalała ruszyć go innej małpie. Mamy tu wyraźne poczucie własności".

Ciekawe doświadczenia z małpami przeprowadził amerykański uczony Robert Jerks. Odbywały się one z szympansami i dowiodły, że małpy są zdolne, rozpoznawać wartość pieniędzy. W każdej klatce umieszczono mianowicie automat, podobny do tych, jakie są u nas na stacjach. Wewnątrz były różne przedmioty, które jeżeli małpa chciała dostać, musiała do automatu wrzucić krążek o odpowiedniej barwie. Małpy niedługo nauczyły się cenić wartość krążków i nigdy nie myliły się w doborze kolorów. By dostać krążek małpa musiała zawsze wykonać pewną pracę, np. przenieść, lub podnieść jakiś ciężar. Małpia płeć piękna okazała się bardzo rozrzutna. Zarobione pieniądze samice szympansów odrazu wydawały, kupując sobie w automatach różne przedmioty. Ciekawe, że gdy na noc zamykano automaty, szympanse wszystkie swoje oszczędności, których niezdołały wydać, składały w ręce dozorcy, któremu bezgranicznie ufały, natomiast do swych współtowarzyszy nie miały zupełnie zaufania.

Najczęściej spotykamy u zwierząt poczucie własności w stosunku do gniazda. Można śmiało powiedzieć, że tylko te gatunki wyłącznie mieszkają i polują. Zdawałoby się że tylko człowiek posiada przywilej władania ziemią, gdy tymczasem i zwierzęta okupują również ziemskie terytorja i uważają je za wyłączną swą własność. Właściciel rewiru bacznie pilnuje, by jakiś intruz nie zakradł się. Biada śmiałkowi, który nie przestrzega tych niepisanych praw. Właściciel rzuca się na intruza z wściekłością i stacza w obronie swej własności zażartą walkę. Prawu temu podlegają nawet dzieci, które gdy podrosną muszą opuszczać rodziców, by szukać dla siebie nowego rewiru. Do zwierząt, o których wiemy napewno, że ściśle pilnują swych rewirów, należą ptaki drapieżne, dalej kuropatwy, zięby, a z pośród ssaków: rysie, oceloty i dzikie psy australijskie, zwane „Dingo".

Podobne poczucie własności terenu miały dziś już wytępione zdziczałe psy w Konstantynopolu. Znany powieściopisarz francuski Claude Farrère tak pisze o nich w swej książce p. t. „Dziwna przygoda Achmeta Paszy Dżemaleddina": Błąkające się psy tureckie nie żyją, — jak sądzicie — niczem psy anarchistyczne, bez tradycji, obyczajów, ustaw i praw. Przeciwnie, ich rzeczpospolita jest państwem znakomicie zorganizowanem. Podziwiałem niegdyś malowniczą ich cywilizację w samym Konstantynopolu, w czasie, gdy to miasto posiadało jeszcze swoją „społeczność" wolnych psów. Konstantynopol, stolica tak prawie wielka jak Paryż, dzieli się na kilkanaście dzielnic. Stosownie do tego psy Konstantynopola dzieliły się na kilkanaście zgraji, z których każda mieszkała w jednej własnej dzielnicy; nie opuszczała jej nigdy i surowo czuwała nad tem, aby żaden pies z innej dzielnicy nie ważył się wejść do niej".

Po lewej: Kruki walczące o gniazdo. Poniżej: Klatka z pawianami w posiadłości dra Woronowa na płd. Francji.

Poniżej: W parku Narodowym Stanów Zjedn. A. P. walczą dwie sarny o „sferę swoich wpływów"





zwierząt, które nie mają stałych legowisk, nie posiadają tego zmysłu. Ptaki np. staczają istne walki o swe gniazda o ile zajmie je jakiś intruz. Nie chodzi tu często nawet o same gniazdo, ile o miejsce, które może być bardziej słoneczne lub mniej wystawione na niebezpieczeństwa, czy też lepiej ukryte. Między szpakami, wróblami i jaskółkami często możemy obserwować takie walki. Ciekawe jednak, że zwierzęta jednego gatunku nigdy nie występują przeciwko sobie. Jaskółka, która zdobywa gniazdo wróbla nie zajmie nigdy gniazda drugiej jaskółki. Tak samo lis, który wypędza borsuka z nory, szanuje legowiska innych swych pobratymców.

Jeszcze wyraźniej występuje u zwierząt poczucie własności w stosunku do pożywienia. Nawet przywiązany do swego pana pies warczy na niego, gdy ten chce mu odebrać miskę z jedzeniem czy kość, którą obgryza. Jak wyżej wspomniałem, niektóre zwierzęta mają pewne obszary, na których

Poniżej: Szympans „Boo-Boo" w ogrodzie zoologicznym w Londynie „zarabia", pomagając dozorcy w porządkach jesiennych.



Małpy staczają między sobą zacięte walki o drzewa z owocami, które uważają za swą własność. Z pozoru niezrozumiały jest dla nas fakt, że bydło domowe napastuje zawsze nową sztukę, wprowadzoną do stada. Dopiero po paru dniach, gdy przybysz przesiąknie zapachem stada, gdy oswoją się z nim, przestaje być napastowany. Możemy przypuszczać, że są to resztki zmysłu własności, jakie bydło domowe odziedziczyło po swych przodkach.

Zmieniają się prawa, zwyczaje i formy posiadania, ale istota jego jak widzimy jest zawsze ta sama, zarówno u cywilizowanego człowieka, jak i u dzikiego zwierzęcia. Posiadanie jest dla człowieka jak i zwierzęcia kwestją bytu, a tem samem i zachowania gatunku.

Inż. Władysław Müller.

DOBRE WINO

NOWELA

Zofja Królowa.

— Prawdziwy Burgund? Raz tylko w życiu piłem prawdziwego burgunda — mówił młody jeszcze wojskowy — i więcej takiego nie spotkam nigdy...

Wpatrzył się w lampkę czerwonego wina, trzymaną trzema palcami — wzrokiem przyćmionym, jakby ścigającym wspomnienia z przeszłości.

— Wino nie zawsze jest napojem bogów — wyrzekł sentencjonalnie.

Nagle potrząsnął energicznie głową, wypił wino i zwrócił na kolegów spojrzenie jasnych, poważnych oczu.

— Dobrze, jeżeli chcecie, opowiem wam to zdarzenie, mimo, że wydam się tem samem, na pastwę waszych, ostrych języków.

Uśmiechnął się kątem ust.

— Słuchajcie więc. Było to po naszem rozbiciu i rozsypce, po wszystkich krańcach świata. Ja znalazłem się wraz z innymi we Francji, gdzie dla zabicia czasu włóczyłem się po wszystkich jej kątach. Zbliżał się wreszcie dzień powrotu do kraju. Kilka dni pozostawało mi jeszcze wolnych. Skorzystałem z nich, by zwiedzić te okolice, które zdawały mi się więcej godne i pociągające. Jadąc z Vaucluse, w ciągu niespełna doby znalazłem się w Burgundji, w jej najpiękniejszej części — w departamencie Cote d'Or, słynnym, jak wiecie, nietylko z przepysznych win, ale i czarujących krajobrazów. Żyzne płaszczyzny, białe gościńce, wzgórza łagodne, kwitnące winnicami, gdzieniegdzie resztki starych fortów, rozrzuconych wśród malowniczych wiosek...

Pamiętam, jakby to działo się wczoraj...

Był to rozkwitły dzień letni, na przełomie jesieni. W cudnym przepychu barw i roślinności tonęły wzgórza, poplamione ciemnią świerkowych lasów i płatami winnic, o nieprzebranem bogactwie tonów, mieniących się złotem, fioletem i zwarzoną purpurą. Szał życia grał w rozpalonem słońcu zapachami żywicznych drzew, skoszonych traw i uderzał z winnic falą upojonych, przegrzanych, dostałych jagód. Wchłaniałem z rozkoszą te wszystkie soczyste oddechy ziemi, poddając się wrażeniom.

Parę godzin już szedłem szerokim, białym gościńcem, a że niedawno opuściłem stolicę Avignonu, prostem skojarzeniem myśli narzucił mi się gdzieś czytany fragment wiersza, którego zapamiętałem jedną zwrotkę. Nuciłem więc sobie, wędrując bez właściwego celu:

„Spotkałem ją w dzień winobrania
już przed wieczornym słońca skonem
w krótkiej spódniczce,
z wrzącem łonem...

Na wpół bachantka, na wpół łania,
w uścisku, z okiem rozmarzonem
przez pole szła, pod Avignonem
w dzień winobrania".

Słońce chyliło się już ku zachodowi. Głodny i znużony usiadłem na przydrożnym kamieniu. Pragnienie paliło mi gardło.

— Dobrzeby było skosztować tutejszego wina — ale gdzieby go tu dostać? — rozmyślałem.

Wtem na gościńcu, w tumanie pyłu zamajaczyło zjawisko, które zdawało się być wywołaną nastrojem wizją. Była to gromadka pasterek, z piękną dziewczyną na przedzie, pędzącą stado białych kóz. Dziewczynę, idącą na przedzie, stroiły liście winne, wychylające się z kosza, które niosła na plecach.

— Dobry wieczór, dziewczęta! — pozdrowiłem pasterki. — Powiedzcie mi proszę, gdzie tu jest najbliższa gospoda. Chciałbym spróbować dobrego wina z waszych winnic...

Na dźwięk mego głosu zatrzymały się i wnet stłumione śmieszki i szepty podniosły się w gromadce, niewiadomo, czy z mej lichej francuszczyzny, a może też śmieszył je mój zniszczony obcy tu mundur.

Wysunęła się bliżej mnie przodownica, znać najrezolutniejsza.

— Gospoda ojca Chalier, tam za zakrętem drogi zaraz ją zobaczycie, za drzewami...

— Oj, ale nie upijcie się winem matki Chalier... Marion.

— Nie pijcie za dużo...

— A nie zakochajcie się w starej Marion... dogadywały drwiąco, wesołe teraz dziewczęta, ruszając w dalszą drogę, za kozami.

Podziękowałem i skierowałem kroki we wskazanym kierunku. Istotnie, niezadługo, za zakrętem drogi ujrzałem stary budynek, obrosły gęsto glicynją, za nim w tło perłowego nieba wcinały się smukłe topole, jak narysowane tuszem.

Napis głosił, że to dom gościnny.

W gościnie zastałem starego Chalier. Niski, chuderlawy, o pergaminowej twarzy, o ponurem spojrzeniu. Nie wyglądał zachęcająco.

Zażądałem wina, coś do zjedzenia i prosiłem o nocleg.

Staruch ruszył do bocznych drzwi, podpierając się laską i zawołał w głąb izby, wcale mocnym głosem:

— Matko Marion! Wina i wieczerzę podróżnemu!

Wkrótce wysunęła się matka Chalier, stara wiedźma, przygięta, o suchej twarzy, ostrych rysach, które mogły być kiedyś nawet pięknemi. Posuwając drewnianemi sabotami wniosła do izby wino i skromny posiłek. Stawiając przede mną wieczerzę obrzuciła mię podejrzliwym spojrzeniem ciemnych oczu, z pod krzaczastych, ale jeszcze czarnych brwi. Oczy te dziwnie żywe i błyszczące stanowiły kontrast ze zwiędłą twarzą staruchy. Nie mniej zwracał uwagę i jej strój, niezwykły dla tych okolic, oddalonych przecież od morza. Był to strój bretońskich rybaczek, z czepkiem, ze skrzydłami, strój bardzo czysty, staranny, nie odpowiadający postaci tej wiedźmy. Na piersiach jej zauważyłem prześliczne, duże bursztyny, znać bardzo stare, ciemne, o szlachetnym odcieniu przejrzystego miodu.

Wieczór na dobre zapadał. Gryząc chleb i popijając go cienkuszem, zupełnie słabym, próbowałem w swej słabej francuszczyźnie zawiązać rozmowę z gospodarzami. Stary, pykając fajkę, dość lakonicznie odpowiadał ze swego kąta pod oknem, w narzeczu, trudno zresztą dla mnie zrozumiałem. Matka Marion, człapiąc po izbie, odpowiadała czasem za niego, w gwarze, więcej już przystępniejszej.

— Tak panie... tu pusto... sami jesteśmy... Nie nudzimy się, bo pracy dużo, na nasze stare ręce — cykał przez suche wargi Chalier.

— Biedni jesteśmy... robotnik drogi... podatki... winnicy trzeba pilnować... gospoda niewiele przynosi — objaśniała stara.

— No, ale w gospodzie przecież zawsze musi być wesoło; bawią się, piją...

— I.i... — machnął stary ręką.

— Nie u nas, starzy jesteśmy... a młodzi lubią młodych...

Wreszcie stary powstał, nie ukrywając znużenia, zakaszlał sucho i życząc mi dobrej nocy, pokusztykał do drugiej izby, przymykając drzwi za sobą.

Zostałem sam, ze starą Marion, która przy słabem świetle kaganka krzątała się, przygotowując mi posłanie, na szerokiej ławie pod ścianą.

— Matko! Nie macie tu lepszego wina? To młode! Dobądźcie-no starszego Burgunda. Chwalili wasze wino — próbowałem pochlebić starej, by nakłoniła się do mego życzenia.

— Wino.. Burgund... Dobre wino... — mruczała chwilę do siebie.

Nie wiem, czy mi się zdawało, że coś jakby szyderczy uśmiech skrzywił jej sine wargi, kiedy zwróciła się do mnie.

— Chcecie panie dobrego wina? — Spojrzała mi w oczy, podreptała w stronę izby męża, uchyliła przymkniętych drzwi, nasłuchując chwilę, wreszcie zamknęła, mówiąc:

— Już śpi!

Sama wysunęła się drugą stroną do sieni i w progu przystając oznajmiła:

— Przyślę wam wina... Dobranoc...

Stanąłem w otwartem oknie, wsłuchując się w ciszę usypiającej ziemi. Noc oddechała muzyką wieczoru, szumem pobliskich topoli i tłumionemi odgłosami dalekiej wsi, tworząc kojącą atmosferę, z balsamicznem zapachami łąk i kwiatów glicynij ,obrastających okno. Znużony drogą, już zrezygnowałem ze spełnienia obietnicy i zamierzałem wyciągnąć się na niezachęcającej zresztą ławie, gdy mój słuch uderzyły zbliżające się kroki lekkie i młode...

Za chwilę we drzwiach pojawiło się najmniej tu spodziewane zjawisko. Była to młoda, smukła dziewczyna, o ciemnych, palących oczach, w takim samym stroju bretońskim, jak matka Chalier. Nawet takie same stare bursztyny błysnęły w świetle lampki.

Widocznie zatem córka, lub raczej wnuczka gospodarza — pomyślałem sobie. W ręku miała dzban wina, a stawiając go na stole, pochyliła się nieco kibicią, musnąwszy mnie w przelocie. Nie wiem, czy z dzbana, czy od uroczej postaci dziewczyny uderzył moje zmysły pyszny aromat wina. W pewnym momencie dziewczyna zwróciła na mnie spojrzenie swych wielkich, czarnych oczu.

Jakże pięknych i wymownych!

Nie byłem pijany, po tej szklance cienkusza, jakim uraczyli mię starzy, lecz na widok tej, młodem życiem tryskającej dziewczyny dreszcz przebiegł mnie wzdłuż krzyży.

Dziewczyna uśmiechnęła się zachęcająco, a pełne, wiśniowe usta, jakby nabrzmiałe gorącą krwią odsłoniły białe, równe ząbki.

— Pijcie panie, wino... dobre wino... chcieliście sami...

— Napijecie się ze mną, piękna panienko? Spróbójcie pierwsza... tak trzeba. Może chcecie mnie otruć? — droczyłem się, podniecając własną odwagę, bo mnie to zjawienie cudnego zaiste stworzenia zaskoczyło i, o dziwo, onieśmieliło.

Potrząsnęła główką tak energicznie, że czepeczek zsunął się nieco i odsłonił bujne, krucze włosy.

— Moje wino was panie nie otruje... jeno da wam sny piękne — dokończyła ze śmiechem.

Pociągnąłem łyk iście wspaniałego wina, cudowny Burgund... Nie wiem, czy ono, czy obecność młodej czarodziejki sprawiła, że raptem zacząłem dobrze rozumieć jej narzecze i sam wcale gładko się wysławiać.

Poprosiłem ją, by usiadła koło mnie, na ławie. Nie wzbraniała się. Potoczyła się rozmowa. Dziewczę zrazu, jakby niepewne, okazało się wesołe, wygadane, wcale na swój stan inteligentne. Zapytałem ją, kim jest.

— Marion Chalier.

— A więc córka, czy też wnuczka matki Chalier, a ludzie mówili, że starzy nie mają nikogo... sami mieszkają. A ty nosisz taki sam strój i twoje oczy takie czarne, jak u babki Chalier... bo ty pewno jej wnuczką jesteś?

— Eh! Co tam będziecie pytać... Wszystko jedno... my tu obcy, nas nie lubią, to i bajają różnie... Powiedzcie co lepiej o sobie.

Opowiadając nieco o moich losach, wziąłem jej drobną, spaloną słońcem rączkę, starając się ją przyciągnąć bliżej.

— Napij się wina z mojego kubka, Marjon!

Dotknęła lampki purpurowemi wargami, przytem ramieniem mię trąciła. Dziwnie gorący płomień przeniknął poprzez ubranie moje ciało. Znów ten mocny, a czysty aromat wina i jakiś zapach zwierzęcości — jakim pachnie czasem las w jesieni — podniecił jeszcze silniej moje nerwy.

Nieznane dotąd, dziwne uniesienie, pełne rozkoszy i zniecierpliwienia, młotem waliło mi w skroniach. Z dziewczyną działo się snać coś podobnego. Pokraśniało jej ciemne liczko i jeszcze silniejszym ogniem rozbłysły piękne oczy.

Dziewczyna nie ukrywała zresztą swoich wrażeń, z jakąś pierwotną swobodą słuchając moich, coraz goręszych wynurzeń. Patrzyła mi w oczy.

Popijając pyszne wino, skolei i ja słuchałem jej niskiego, wdzięcznego głosu.

Skubała zerwaną przez okno gałąź glicynji i opowiadała mi wzajem o swem życiu w tym ustronnym zakątku, o pracach letnich w winnicy, o zbiorach jesieni, o długich dniach białej zimy. Skarżyła się, że rzadko widuje tu kogo z miasta, a już takiego, miłego pana — tu spojrzała mi w oczy — chyba nigdy nie widziała...

Zamiast odpowiedzi zerwałem się, jak szalony i bez słowa porwałem ją w ramiona, wpijając chciwie wargi w jej wilgotne, pachnące winem usta...

— Takich ust, takiego pocałunku chyba nikt, nigdy nie zakosztował!!

Opowiadający odetchnął wyczerpany, chwilę milczał, z przymkniętemi oczami, wreszcie zaczął na nowo, przyciszonym głosem.

— Dzisiaj jeszcze wrażenie wraca z całą siłą...

Zadumał się przez chwilę.

— Że nie oszalałem po tej nocy, sam sobie się dziwię. Wino — dziewczyna — zapach glicynij... złożyły się na jedną całość — szaloną, jakże szaloną noc!

Ogień płynął w żyłach Marion i ogień musiał być w jej winie...

Pamiętam, że świt zabielił okna, kiedy wyczerpaniem pijany zasnąłem na jej piersiach.

Zbudziło mię człapanie drewnianego obuwia. Nade mną stał stary Chalier. Podniosłem ciężką, jak z ołowiu głowę, spojrzałem wokoło... Leżałem na ziemi — obok wypróżniony dzban z wina i gałąź glicynji.

Stary patrzał na mnie jakimś złym, zjadliwym wzrokiem.

— Upiliście się pewnie panie... Wstańcie, dam wam koziego mleka... — mamrotał.

— Musimy się pożegnać. Mnie czas iść do winnicy. Matka Chalier już dawno poszła, dom trzeba zamknąć...

Nie odpowiadałem, nie mogąc zrozumieć, czego ode mnie chce stary; wyczuwałem tylko, że chce mi wyrządzić jakąś krzywdę... Jakże to — wypędza mnie z domu, od Marion, ależ to być nie może!

— Ja... ojcze Chalier... nie pójdę stąd... Zapłacę wam, ile się należy. a z Marion chcę mówić — bełkotałem — z waszą córką...

— Z córką?! — wrzasnął stary wściekle. Z jaką córką; nigdy nie mieliśmy dzieci!

— A dziewczyna? Marion?... któż ona?

Wzrastający gniew zabarwił łuną, złą, pergaminową twarz starca.

— Sami mieszkamy... Opiliście się winem! Matka Chalier poszła..

Gniew i wściekłość wzbierały snać w suchej piersi, zdawało się, że pod ich wpływem zgarbiony starzec rośnie w oczach. Ściskał grubą laskę, w żylastej ręce i patrzył we mnie, jakby wzrokiem chciał mnie zabić.

Chwilę wahałem się, czy lepiej rozwalić mu ten zły łeb, czy starać się go ułagodzić. Wreszcie wydobyłem banknot i rzuciłem na stół. Stary, mimo wściekłości zgarnął szybko pieniądz, suchemi, jak grabie palcami i uspakajając się momentalnie, mruczał coś tylko niezrozumiale.

Widząc, że naprawdę zabieram się do drogi, rozjaśnił twarz i patrząc mi znacząco w oczy, powiedział:

— No, idźcie z Bogiem, panie. A to... wam się śniło! zadużo piliście. Nie każdemu służy nasze wino... pamiętajcie!

Zabrałem płaszcz i gałąź glicynji, przestąpiłem próg, odprowadzany, jakby drwiącem spojrzeniem ojca Chalier. Nie oglądając się więcej wyszedłem przed dom.

Ranek był dziwnie mglisty, żałosny, mimo przedzierającego się już słońca. Jakże innym przedstawiał mi się dzień wczorajszy, wobec dzisiejszego! W duszy mej powstawało jakieś tępe uczucie przerażenia, które starałem się zagłuszyć, nie pozwalając sobie na dotarcie myślą do dna.

Machinalnie niosły mię nogi gościńcem, aż trafiłem na ten sam kamień przydrożny i również machinalnie na nim usiadłem. Przetarłem oczy, niezdolny do zdania sobie sprawy, czy noc przeżyta była rzeczywistością najszaleńszą, czy też szaleństwem rzeczywistem.

Wyjąłem kieszonkowe lusterko, badając własne rysy. Twarz była bledsza, ale oczy patrzyły jasno, nie zdradzając gorączki. Zato usta pokaleczone, pogryzione paliły mię dotąd.

Podniosłem głowę i już miałem powstać, by ruszyć w dalszą drogę, gdy ujrzałem nadciągające od wsi wczorajsze pasterki, pędzące kozy. Na mój widok same zatrzymały się przede mną.

— Dzień dobry panu, czyście trafili do ojca Chalier?

— Spaliście może w oberży?

Stłumione śmiechy wybuchnęły znów, jak wczoraj.

Wstałem nagle, chwytając dość gwałtownie najbliższą dziewczynę za rękę, aż się cofnęła przestraszona.

— Nie bój się — powiedz mi tylko proszę, kim jest ta młoda dziewczyna Marion, w gospodzie ojca Chalier?

Wybuch głośniejszego śmiechu całej gromadki był mi odpowiedzią. Po chwili z pośród nich wysunęła się najpoważniejsza, blade dziewczątko, które wczoraj wskazało mi drogę. Ona jedna nie śmiała się, lecz utkwiwszy we mnie duże oczy, jakby z pewnem współczuciem rzekła:

— Panie! Starzy są zawsze sami w gospodzie, zawsze sami — powtórzyła — ale wy piliście pewno złe wino tej starej, bretońskiej czarownicy. To ona!

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Tym razem możemy naprawdę pochwalić nowe wydawnictwa i musimy pocieszyć się myślą, że jeszcze „dobry gust" nie zaginał. Może już nie zobaczymy klasycznych sztychów na bieżących wydaniach dorównujących pierwszym serjom Anglji, Belgji, U. S. A., ale dzisiejsza epoka stawia przecież inne wymagania — obecnie musi się każdy znaczek ukazać w miljonach egzemplarzy i przygotowanie jego nie może trwać wiele miesięcy, lecz zostaje często dokonane „a la minute".

Ze zbioru p. dyr. Landaua w Krakowie reprodukujemy 2 śliczne znaczki holenderskie i prawdopodobnie spodobają się one wszystkim więcej aniżeli niedawna serja dobroczynna. Tym razem i rotograwura stanęła na wysokości zadania i oddanie półtonów jest doskonałe — czy nie możnaby więc najniższych wartości polskiej serji krajobrazowej wydać tą techniką drukarską, po wyczerpaniu obecnych nakładów litograficznych!

Forma znaczków jest trochę egzotyczna, ale widocznie w ten sposób chciano zwrócić na nie uwagę. Powodu ich wydania może się domyśleć z napisów chyba tylko detektyw i niewiadomo nam bliżej, dlaczego „academia Traiectina" ma oznaczać uniwersytet w Utrechcie, który właśnie w roku bieżącym święci 300-lecie istnienia. Gisbertus Voetius był jej założycielem, a wizerunek jego i daty urodzenia i śmierci podane są na wartości za 12.5 c. Kolor tego znaczka ciemno-niebieski o drugiej wartości karminowy; znaczki wodne „kółka".

Również w Anglji heliograwura jest stosowana przy druku znaczków, ale w kolonjach wciąż jeszcze klasyczny miedzioryt święci triumfy. Bo czy nie miło jest spojrzeć na ten znaczek, na którym widzimy śniegiem pokryty najwyższy szczyt Nowej Zelandji, Mount Cook. Ramę tworzą motywy kwiatów szarotki i połączenie brązowego koloru z niebiesko-stalowym daje naprawdę przyjemne wrażenie. Szkoda, że tak mało jest obecnie zbieraczy, którzy (jak p. Z. Sawicki w Turku — od którego otrzymaliśmy ten egzemplarz) umieją i wśród zamorskich znaczków znaleźć coś godnego uwagi, a nie zgodnie z ogólnym prądem ograniczają swe zainteresowanie do kilku krajów. Nawet przy wielkich środkach finansowych nie można uzyskać kompletu chociażby Polski, a raczej umiejętne ułożenie i utrzymanie zbioru dowodzi klasy zbieracza.

Najrzadszy z polskich znaczków dopłaty za 3 zł. zaopatrzono przedrukiem „50 groszy". Przypuszczalnie zlikwidowano w ten sposób resztę nakładu tej dotąd bardzo mało używanej wartości, tak, że należy się spodziewać, iż cena 3-złotówki jeszcze bardziej się podniesie.

W. H.



Trójkątne znaczki, wydane przez Holandję z okazji 300-lecia istnienia uniwersytetu w Utrechcie. Powyżej znaczek Nowej Zelandii przedstawiający najwyższy jej szczyt Mount Cook.

W ROCZNICĘ »SIMU«

W artystycznem życiu Warszawy pani Zofja Raczyńska-Arciszewska zajmuje bezsprzecznie jedno z czołowych miejsc. Jej bowiem zawdzięcza stolica powstanie placówki, która stała się sympatycznym ośrodkiem artystyczno-kawiarnianego życia, zakrojonym na miarę paryskiego Quartier Latin. Pani Raczyńska-Arciszewska, sama doskonała dekoratorka, przytem nawskróś dusza artystyczna, odczuwała najlepiej brak takiej placówki, toteż stworzywszy ją przed trzema laty, spotkała się z gorącem przyjęciem. Kawiarnia, salon sztuki, estrada koncertowa, rewja mód, dancing, wszystko zespolone w doskonałej harmonji i zgodzie pod jednym dachem, pod hasłem „Sztuka i Moda“, założone od podstaw i prowadzone dzielną ręką młodej, lecz energicznej i pełnej zapału artystki. Jest to, jednem słowem, popularny w Warszawie „Sim“.



Urządzenie lokalu stanęło na wysokości zadania. Przytulne wnętrze, dalekie od szablonu przeciętnej kawiarni, utrzymane w dwóch barwach, niebieskiej i żółtej, zaprojektowane do najdrobniejszych szczegółów przez panią Raczyńską - Arciszewską i wykonane w jej atelier, abażury, prześliczne lampy z laki, flakoniki z kwiatami w barwach dostosowanych do całości, dyskretna, dająca odpoczynek nerwom muzyka, wszystko to stwarza atmosferę raczej domową a nie publicznego lokalu. Artystycznej dekoracji wnętrza dopełniają dzieła artystów malarzy i rzeźbiarzy, którym „Sim“ oddał bezinteresownie swe salony na wystawy obrazów i rzeźb. Gościli tu między innymi Stryjeńska, Olga Niewska, Pruszkowski, Borowski, Pia Górska, z karykaturzystów: Zaruba, Topolski, Józef Tom, Jotes, nie licząc całej plejady młodsze braci artystycznej, która częstokroć poraz pierwszy miała sposobność zaprezentowania tutaj swych prac, jak to miało np. miejsce na cieszącym się ogromnem powodzeniem „Jarmarku Akademji Sztuk Pięknych“.

„Sim“ wprowadził też pierwszy w Warszawie produkcje estradowe, angażując w tym celu pierwszorzędne siły i nie pobierając zato żadnych specjalnych wstępów. Niejeden młody talent znalazł tu również pole do popisu i wybicia się. Ubiegłej zimy rozpisał „Sim“ konkurs na polską piosenkę. Nagroda wynosiła 500 złotych. Nadesłano tyle utworów, że nagroda musiała być rozdzielona między liczniejsze grono młodych kompozytorów. Pierwszą nagrodę zdobyli Leopold Zieliński, Onufry Kopczyński, Cybulski i Oczerowski.

Duże zasługi położyła pani Raczyńska-Arciszewska jako inicjatorka rewij polskiej mody, urządzając pokazy modeli, zaprojektowanych przez nasze malarki, z krajowych materjałów, jak głośne swego czasu „perkaliki“, samodziały i tak modny obecnie len.

Sama pani Zofja, drobna, szczupła brunetka, o fascynującej, oryginalnej urodzie, może stanowić wzór szyku i elegancji, ubrana zawsze z wielkim smakiem według swego gustu i malarskich pomysłów.

Nic zatem dziwnego, że trzecia rocznica założenia „Sima“, która się odbyła przed kilku dniami, stała się nielada uroczystością. Ściany przystroiły na ten dzień piękne portrety pędzla Janusza Pawła Janowskiego, pejsaże Stanisława Śliwińskiego i Macieja Nehringa, oraz rzeźby Karnego. Na estradzie istny turniej piosenki i rymowanego słowa, trwający od szóstej popołudniu do północy. Karwowska, Olga Kamieńska, Greta Turnay, Elektorowiczówna, Bogucki i wiele, wiele innych sław i ulubieńców Warszawy. Tłok nieopisany, nastrój pierwszorzędny, morze czarnej kawy i góry lodów.

„Czcigodna“ jubilatka przyjmuje życzenia i gratulacje. Składam je i ja imieniem „Asa“ i proszę o zdjęcie. Wywiad? Zbyteczny! Patrzę na rozpromienione oblicze pani Zofji i jej gości. Wszyscy czują się jak u siebie w domu. Zatem zadanie spełnione. To przecież było główną sprężyną i celem zamierzeń przy tworzeniu tej artystycznej placówki przez dzielną jej inicjatorkę i założycielkę.

Zofja Ordyńska.



Na prawo: Zaciszny kącik warszawskiej kawiarni artystycznej.



Na prawo: Lokal „Simu“ odznacza się prostotą i artystyczną symfonją barw.

Na lewo: Doskonała dekoratorka p. Zofja Arciszewska-Raczyńska

Poniżej: Dekoracje w lokalu „Simu“ przypominają kulisy podobnych kabaretów paryskich.





Przez Nowogródek biegnie trakt, którym na wschód podążała Wielka Armja...

Fot. Dangel — Wilno.

PURPUROWA LEGENDA

Przez ziemię starą, którą zamieszkała tradycja, jak nić purpurowa, na kanwie zielonych pól, snuje się dawna legenda. Orały tę ziemię niepokoje. Czas darł ją rylcem złej doli, barwiła czerwienią wojenna pożoga... A one przecie pamiętają. Zapamiętał ją chłopak mały, który pod Nowogródkiem na sztachety folwarku się wspinał, by ujrzeć Świetlanego Księcia, co na Medyce kwaterował, zapamiętałby potem, po latach na paryskim bruku zawołać...

„Roku! Kto ciebie widział w naszym kraju".

Od Nowogródka biegnie purpurowa wstęga pochodów.

Rok 1812.

Z karabinami w garści, w białych gietrach i z Marsyljanką na ustach maszerowała Wielka Armja ku Wschodowi... A traktem brzozami sadzonym, biegła kołysząc się na pasach złocista kareta, w której jechał On.

I rzecz znamienna i dziwna dla ziem tych zadumanych w mgłach letnich wieczorów. Tak znamienna i dziwna, jak odrębne są te ziemice. Tę właśnie scenę wielkiego dramatu historycznego swego życia, zapamiętały najlepiej Rapsodje wielkiej wojny: rapt bolszewizmu, a przedtem dawno jeszcze powstania, w pamięci tej ziemi starej nie zachowały się z barwnością taką... jak Epos ten najwspanialszy.

Człowiek Meteor... jakich ludzkość raz na tysiąclecie wydaje... przebiegł nad nią... rozkochał i kazał o sobie zapamiętać na wieki. Piąte ćwierćwiecze już mija, w trwaniu którego padły trony i świat się inny narodził, a Legenda żywie.

Po ziemi nowogródzkiej, traktach Wileńszczyzny, po dworach utulonych w bukiety lipowe.

Purpurowa legenda napoleońska...

Trudnoby było w ramach jednego feljetonu, zebrać w skrócie, chociażby najbardziej syntetycznym, wspominki, „pogaduszki" i opowiastki zaściankowe z tego czasokresu. Praca to dla historyka poważna, którą w foljał pięciuset stronicowy z trudem zamknąć by się dało, to już nie legenda, a złote źródło dla badacza wojen i obyczajowości.

Nas jednak wyłącznie interesuje anegdota. A jest tych anegdot wiązanka bogata, są gadki swawolne i płoche, o tem jak cesarz Francji, król włoski i wielki protektor związku Reńskiego, w przygodne koperczaki do młynarzówny pod Dokszycami się wybierał... a nic nie wskórał, są takie o panach oficyerach z pułków nadwiślańskich, że (uszy uczciwszy) chyba tylko w męskiej kompanji opowiadać można, a i o po szklance wina, są rzewne i księżycowo rozkochane, i bohaterskie a błyskotliwe jak błysk pałasza, ale są i smutne, ba! tragizmem przejmujące, takie, od których białogłowy bledną i za lawendą się oglądają. Stonowane z muzyką Epopei, z rapsodją, której rytm wybijało, trzydzieści tysięcy kopyt końskich konnej gwardji Cesarza.

* * *

Dzień był czerwcowy, sromotnie upalny.

Cesarz jechał w karecie, głęboko oparty w poduszki swojego pojazdu, z nogami wyciągniętemi przed siebie, złożonemi rękami na piersi, z głową nisko schyloną. Przez firanki złociste, któremi zasłonięte były okna pojazdu, przebiegały cienie brzóz przydrożnych, które Imperatorowa Katarzyna jeszcze sadzić kazała.

Drzemał.

Opodal pojazdu eskortowanego przez szwadron strzelców, w czerwonych dolmanach, na karym ogierze, galopował, arystokratyczny jego adjutant, encyklopedysta, paź dworu Ludwika XVI, hrabia Ludwik de Narbonne. W złotym kurzu litewskiego traktu, w upale południa.

Cesarz ocknął się. Sen, który się słabo omotywał, wokół jego cezarjańskiej głowy, pierzchał odrazu, bezpośrednio, spłoszony błyskiem szaro zielonych oczu.

— Narbonne! Dyrekcja?

Poza roletami odezwał się piękny, niski głos adjutanta.

— W pobliżu osady Olkieniki, Sire!

— Bon! Konia!

Z wysokości purpurowego siodła i grzbietu siwojabłkowitego „Taurisa" — w słonecznej dali widniały szare domostwa biednej kresowej osady.

Olkieniki.

Dziś wiemy dobrze dlaczego to Olkieniki, mała żydowska mieścina, dostały się do historji. Dzięki niemu właśnie.

W awangardzie Wielkiej Armji, galopowali za kozakami Płatowa, z zjeżonemi lancami ułani polscy 8-go pułku księcia Dominika Radziwiłła. Droga pościgu na Olkieniki wiodła, wpadli w tumanach kurzawy w opłotki osady, między stodołami nacięli kozaków i zlegli kwaterą w mieścinie. Polscy ułani, wszystko szlachta mazowiecka, młodzi, głodni, upojeni galopem. Wiadomo jak to w podobnych wypadkach bywa. Najpierw łupem padły kachałowe gąski, a potem... i córki rabinowe. Ułani, jak to ułani. Najedli się, poswawolili i pojechali dalej. Ale tu ci w mieścinie zawrzało. Gwałt! rozbój — vis armata i raptus puellae! — Może by się i na lamentacji skończyło, gdyby nie wieść, że cesarz właśnie tędy przejeżdżać będzie. Czyż może być lepsza okazja do wniesienia interpelacji... a co najważniejsze do upomnienia się o kompensatę?

Aż przyjechał oczekiwany.

Konno, w szarej kapocie, poprzedzany przez złocistych szaserów. Taki, jakim go imaginowano na obrazach.

A zły z gorąca i podrażniony, że nie przystąp.

Wjechał właśnie między opłotki znużony i zakurzony.

Aż w tem naprzeciw cesarskiej ekipy wysuwa się pochód przedziwny. W barwistych strojach, turbanach wschodnich z transparentami korowód ludzi brodatych.

Szaserzy wstrzymali konie, cesarz ściągnął „Taurisa".

A wtedy wrzask straszny w gromadzie podniesiono, zawoje„ a turbany poszły w górę, a ponad całym larum okrzyk: „Wiwajt Napoleon!" panował.

Zdumiał się cesarz owacji, zdumieli się adjutanci.

A tedy z orjentalnego pochodu, siwowłosy „turczyn" się oddala, do cesarza podchodzi z perorą.

— Firchten sie nich a Kaiserliche Majestät... wir sin a keine muzułmanes, wir sin a Olkienikier Jiden".

Co powiedziawszy, w cholewę buta cesarskiego całus składa.

Słabo znał niemczyznę Wielki Korsykanin. Niespodziewana owacja, upał, który go paraliżował i zmęczenie, mąciły mu „mentes". Ktoś z polskich oficerów rzucił się do tłumaczenia.

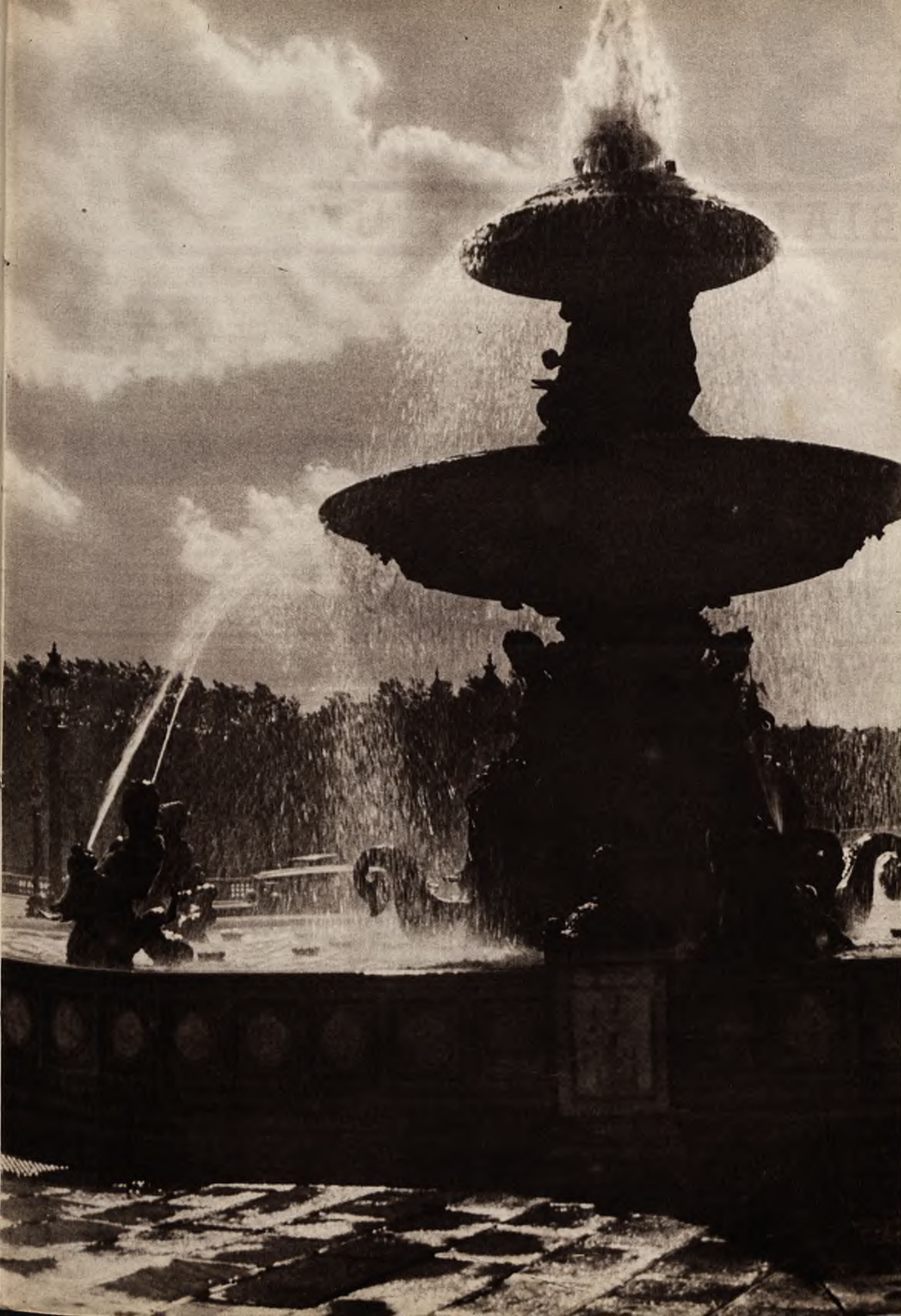
Ale trudno było rozróżnić sensu. „Turczyni" widząc uśmiech na obliczu cesarskiem, zaczęli się cisnąć wokół cesarza i mówić odrazu wszyscy naraz, kilku językami.

Napoleon biorąc wrzask nie za skargę na swych ułanów, lecz za bezinteresowną owację, wspiął się w siodle, pokrowiec z olstrów na pistoletach zdarł i w tłum rzucił.

Piękny, pąsowy, szczerem złotem haftowany.

Po dziś dzień w olkienickiej synagodze, pokrowiec z siodła cesarskiego się zachowuje. Owinięto weń świętość obrzędową — torę. W miejscu kultem największym otoczonym — dar cesarza Napoleona.

(Ciąg dalszy na str. 18-tej).



W CZERWCOWY PORANEK...

Fontanna na placu Zgody w Paryżu.

Fot. dr. P. Wolff.

3 muszkieterów BIAŁEGO SPORTU



Cochet. Borotra. Lacoste.



Na lewo: Henri Cochet opuszcza na ramionach rozentuzjazmowanych rodaków stadjon „Roland-Garros" w Paryżu po decydującem zwycięstwie w puharze Davisa w roku 1931.

Najelegantszy ze sportów: biały sport, tenis rozpowszechnił się w ostatnich latach w niebywały sposób. Na całym globie ziemskim, dokąd tylko dotarła cywilizacja, tam pojawia się i za nią tenis. — Turnieje tenisowe cieszą się w Indjach niemniejszem powodzeniem, niż dotąd na Riwierze. Gracze o dużej klasie mają naprawdę cały świat otwarty: we wszystkich jego częściach tysiące widzów oklaskuje asów tenisu i emocjonuje się rozgrywkami o puhar Davisa.

Jakkolwiek ojczyzną tenisu jest Anglja, to jednak hegemonja białego sportu nie należy do niej już od wielu lat, mimo, że obecnie najlepszym graczem świata jest Perry, syn Albionu.

Przez wiele lat prym wiedli w tenisie Australczycy i Amerykanie, a dopiero przed dziesięciu laty Francja przeniosła punkt ciężkości w walkach o puhar Davisa do Europy. Ten renesans tenisu europejskiego jest wyłączną zasługą trzech Francuzów, którzy stworzyli w białym sporcie własną epokę.

„Les trois Mousquetaires" — oto popularna nazwa, którą się szczycili bohaterowie największych turniejów: Borotra, Cochet i Lacoste...

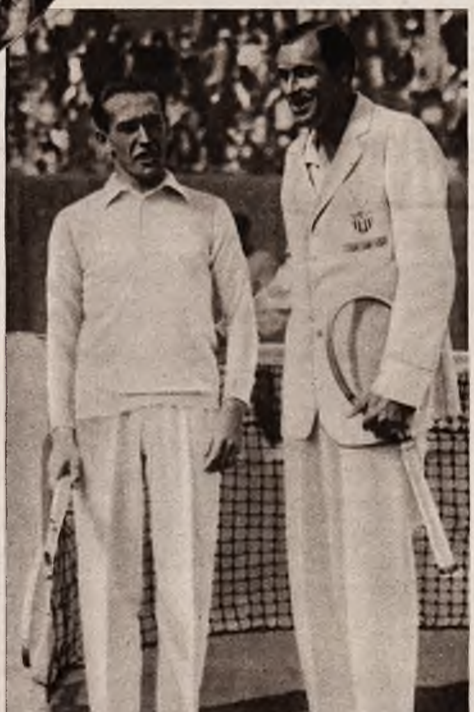
Każdy z nich był dwukrotnie mistrzem Wimbledonu, a to jest równoznaczne z tytułem mistrza świata. Każdy z nich reprezentował inny sposób gry, inne usposobienie, poprostu inny świat tenisu; ale każdy z nich był w swoim rodzaju niezrównanym mistrzem.

Przez siedem lat z rzędu, kiedy wszyscy trzej lub przynajmniej dwuch z nich broniło barw francuskich przed atakami Yankesów, puhar Davisa czuł się bezpiecznym we Francji. Kiedy kolejno brakło Lacoste'a, później Cochet'a, a świetność Borotry przygasła w obliczu zbliżającego się „piątego krzyżyka",. cenne trofeum uciekło z Paryża, tym razem nie za Ocean, lecz znacznie bliżej, bo jedynie przez kanał La Manche do Londynu.

Zajmijmy się pokrótce historją karjery tenisowej „trzech muszkieterów".

Najobszerniejszą kartę w kronice światowego tenisu ma bezwątpienia Jean Borotra. Zaraz po wojnie wybija się na pierwszego gracza francuskiego i przez dwadzieścia blisko lat utrzymuje się na wyżynach, a dziś jeszcze, chociaż nie jest już asem nad asami, stanowi pierwszorzędną atrakcję turniejów, w których bierze udział.

Poniżej: Cochet i Tilden po meczu w Wimbledonie, który przyniósł Francuzowi mistrzostwo świata.



Borotra jest na korcie uosobieniem niezwykłego temperamentu i francuskiej błyskotliwości. Tym właśnie cechom zawdzięcza on swą nadzwyczajną popularność we Francji i niekłamaną sympatję, jaką go darzy publiczność na kortach całego świata. Jego gra, to prawdziwy taniec z rakietą. Borotra nie uznaje spokojnej, zrównoważonej walki, której hołdowali zawsze Anglicy. On zna tylko jeden sposób wygrania piłki: „skończenie" jej przy siatce. Cała jego gra jest nastawiona na odbijanie piłek wprost z powietrza; wszystkie inne uderzenia, to tylko przygotowania do zajęcia pozycji przy siatce, gdzie czyha na piłkę, aby ją „zabić" płaskim volleyem, lub piorunującym „smash'em" przerzucić ją aż przez trybuny.

„Latający Bask" to jego przezwisko, które ma podwójne znaczenie. Borotra fruwa z rakietą po korcie. Tuż po serwisie, w kilku skokach znajduje się już przy siatce, w sekundę wraca z powrotem w głąb placu — po udanem uderzeniu znów biegnie naprzód. Nie zna zmęczenia, — zdaje się, że nie potrafiłby ustać ani momentu na jednem miejscu, — nawet, oczekując podania przeciwnika, podskakuje w miejscu niby maszyna, przygotowana do startu. Przydomek „latający" zawdzięcza jeszcze Borotra swemu upodobaniu do podróży samolotem. Nigdy nie jeździ koleją; nie ma na to czasu.

„Latający Bask" jest reprezentantem wielkiego przemysłu i międzynarodowej finansjery; bywa wciąż zajęty interesami i konferencjami we wszystkich wielkich miastach świata. Gdy gra w turnieju w Londynie i ma wyznaczone spotkanie o trzeciej popołudniu, często jeszcze o pierwszej jest w Paryżu, czy Brukseli i dopiero w ostatniej chwili leci specjalnym samolotem do Londynu. Tam wprost z lotniska udaje się na plac tenisowy, wygrywa (czasem oczywiście przegrywa) swój mecz, potem, nie przebierając się, pędzi autem na lotnisko, — wieczór uczestniczy w ważnej konferencji w Amsterdamie, zaś na drugi dzień pojawia się z nowu w Londynie.

Do zjednania mu popularności w ojczyźnie przyczyniło się jego kapryśne zachowanie na placu. Skoro uda mu się trudne, efektowne zagranie, nie kryje swej radości. Śmieje się i cieszy jak dziecko. Jeśli przegrywa i popełnia proste błędy — płacze i denerwuje się każdem głupstwem. Zmienia kolejno rakiety, swe historyczne berety, z któremi się nie rozstaje, a na meczu z Ameryką w decydującym momencie poprosił o chwilę przerwy i zmienił buciki, uważając, że przynoszą mu pecha.

Osobny rozdział w dziejach tenisowych stanowią jego spotkania z Tildenem. Ambicją Borotry było pobić raz w życiu Big Billa, tego prawdziwego genjusza tenisowego. Kilkakrotnie zdawało się, że już jest blisko celu i zawsze w ostatniej chwili ulegał staremu rywalowi. Rewanż nad nim brał jedynie na krytych kortach, na których był niezrównanym mistrzem, gromiąc wszystkich, nie wyłączając nawet Tildena.

Zupełnie krańcowe przeciwieństwo Borotry, stanowi słynny as tenisu, René Lacoste. Żadnego temperamentu; ani cienia ryzyka; niezmącony spokój i żelazna logika



ste z czynnego życia sportowego i ożeniwszy się z mistrzynią Francji w golfie p. Thion de la Chaume, zajął się grą w golfa, jednak nie tak intensywnie, jak tenisem.

Pozostaje nam ostatni muszkieter: Henri Cochet.

Cochet jest zdumiewającym fenomenem tenisu znowu z całkiem innych powodów, niż Borotra, czy Lacoste. Nie stworzył swego stylu w tenisie, nie ma jakiegoś stałego sposobu gry. Cochet posiada jednak bystre oko i pewną rękę. To mu wystarcza. Jego gra, to pokaz niebywałej orjentacji i szybkiej reakcji. Nie narzuca swej gry przeciwnikowi, ale momentalnie znajduje najlepszą receptę na grę przeciwnika. Każdy błąd, nieopatrzne odsłonięcie, czy lekkomyślna wycieczka do siatki... i piłka staje się łupem Cocheta. Posiada tę wielką zaletę, która charakteryzuje prawdziwych sportowców: nie rezygnuje z walki aż do ostatniego uderzenia, nawet wtedy, kiedy już wszystkie szanse wydają się stracone...

Cocheta nie zaskoczy nikt nagłą zmianą taktyki, czy niespodzianym trickiem, — wydaje się, że właśnie na to czekał, — tak jego riposty są szybkie i trafne. Nie jest efektowny, jak Borotra; nie gra tak uważnie

kania z Tildenem, którego kilkakrotnie pobił w Wimbledonie i w puharze Davisa.

Kilka lat temu przeszedł Cochet do obozu tenisistów zawodowych i podróżuje po dalekich krajach, demonstrując wszędzie najwyższą klasę białego sportu.

Jak prawdziwi trzej muszkieterowie, mieli Cochet, Lacoste i Borotra towarzysza, który, nie będąc muszkieterem, był im jednak nieodłącznym towarzyszem i partnerem. — Jacques Brugnon, zwany „Toto", czułby się niewątpliwie pokrzywdzonym, gdyby przypadkowo przeczytał te wiersze i nie znalazł w nich swego nazwiska. Brugnon jest właściwie najlepszym dublistą w historji tenisu. Jakkolwiek nie dorównywał klasą gry muszkieterom i nie miał światowych sukcesów w grze pojedynczej, jednak niezmiennie od kilkunastu lat reprezentował Francję w grze podwójnej. Grał kolejno z Borotrą, Cochetem i Lacostem, zdobywając szereg razy pierwsze miejsce w Wimbledonie i zwyciężając w grze podwójnej w puharze Davisa. Jego pewność i znakomita taktyka doublowa pozwalają mu na sukcesy jeszcze teraz, mimo, że jest najstarszym z najlepszych tenisistów francuskich.

Zygmunt Czyżowski.

Na lewo: René Lacoste przy wynalezionej przez siebie maszynie do podawania piłek

Na prawo: Wierny towarzysz „trzech muszkieterów", Jacques Brugnon.



w grze, to są główne atuty, któremi wygrywał Lacoste. Jak sam o sobie pisze, nie miał on nigdy talentu do tenisu. Całą swą umiejętność zdobył rzeczywiście mrówczą pracą. Wystudjował wzorowo wszystkie uderzenia i nabrał niesłychanej regularności i doskonałości. Gra jego nie posiadała nic z improwizacji, ani gwałtowności Borotry, nie był też genjalnym taktykiem i technikiem, jak Tilden, czy Cochet. Monotonnie i nieznużenie odbijał piłki: w lewo, w prawo, w lewo i w prawo, ale każda z nich padała w samym rogu placu. Żadna z jego piłek nie sprawiała przeciwnikom trudności, ale odbić tysiąc jednakowych piłek... na to nie stać było prawie nikogo. Jak kropla wody powoli drąży skały, tak Lacoste swą spokojną grą „załamywał" swych przeciwników. Jego przydomek tenisowy jest mniej efektowny, niż przydomek Borotry: nazwano go mianowicie Aligatorem. Nie miało to być dla niego uszczypliwem, gdyż jak pisze o nim Tilden, — Lacoste był najlepszym wzorem gentlemana, jaki kiedykolwiek pojawił się na kortach. Jego spokojna, flegmatyczna gra i nienaganne zachowanie się na placu, zjednały mu szczery podziw Anglików; był ulubieńcem turniejów angielskich, zwłaszcza sławnego turnieju w Wimbledonie, gdzie zatriumfował dwukrotnie.

Lacoste pierwszy w Europie pobił Tildena dzięki swej pracowitej i bezbłędnej grze i jemu głównie zawdzięcza Francja przełomowe zwycięstwo w puharze Davisa. Jego maksyma tenisowa brzmiała: praca nad sobą i absolutne skupienie i wola zwycięstwa na korcie. Jak dalece Lacoste potrafił się skupić w czasie gry, świadczy najlepiej następujące zdarzenie: Podczas meczu z jednym z pierwszych angielskich graczy w Wimbledonie, Lacoste serwując spostrzegł, że przeciwnik nawet nie ruszył się do piłki; sądząc, że dał piłkę na out, zaserwował poraz drugi; przeciwnik znowu nie zastartował. Dopiero wtedy Lacoste zorjentował się, że jego vis a vis stoi tyłem do siatki i patrzy w kierunku trybun. Okazało się, że w loży pojawiła się królewska para i wszyscy gracze, sędziowie i publiczność, zwrócili się w jej stronę, stojąc nieruchomo w czasie odgrywania hymnu narodowego.

W pełni sławy, w posiadaniu tytułu najlepszego gracza świata, wycofuje się Laco-

jak Lacoste. Przeciwnie — jego nonszalancja stała się wprost przysłowiową. Cochet zaczyna walczyć tylko w obliczu niebezpieczeństwa. Kilkakrotnie ponosi porażki z graczami prawie zupełnie słabymi (przegrał właściwie mecz z M. Stolarowem w Warszawie; jedynie mylne rozstrzygnięcie sędziego zmieniło końcowy wynik), ale, jeżeli stawka jest poważna, jeżeli idzie o barwy narodowe, wtedy Cochet staje się niezawodnym. Chlubą jego karjery pozostaną spot-



Powyżej w kole: Jean Borotra, zwany „Latającym Baskiem".



Na prawo: „Latający Bask" w akcji.

GINGER i FRED

Marzeniem każdego kompozytora przebojów muzycznych było i będzie dostanie się na afisz jednego ze słynnych teatrów rewjowych, lub co ważniejsze wprost na Srebrny Ekran. Jest to bowiem zawsze równoznaczne z uzyskaniem dla swego utworu najlepszych wykonawców i najefektowniejszej oprawy filmowej, czy scenicznej.

Droga do takiego sukcesu jest jednak żmudna i daleka... Ileż to razy zdarzało się, że jakiś utalentowany, młody muzyk zjawiał się w gabinecie dyrektora „Casino de Paris", lub „Ziegfield Folies" poto tylko, by usłyszeć sakramentalną odpowiedź: Mamy naszych stałych autorów i nie przyjmujemy rzeczy od obcych! Poco jednak sięgać tak daleko. Mniejwięcej analogiczna scena rozgrywa się przecież przy podobnej wizycie i w naszych teatrach rewjowo-kabaretowych, w których również istnieje monopol pewnych tylko osób na dostawę materjałów scenicznych. Dopuszczenie kogokolwiek z poza tego uprzywiljowanego koła do głosu jest więc zawsze dziełem czystego przypadku. O niego walczą młode talenty.

A tymczasem „asy" muzyki tanecznej triumfują na ekranach i scenach całego świata. Przeboje Youmansa, czy Irving Berlina — Stolza lub Lehara śpiewają gwiazdy filmu i music-hallów przy akompanjamencie najlepszych zespołów muzycznych. Bierze je na swój „warsztat" sam król jazzu, Paul Whiteman i stwarza całe symfonje, które olśniewają słuchaczy niezwykłą pomysłowością faktury i harmonizacji. Wreszcie słynni tancerze komponują pod wpływem ich frapującej rytmiki poematy taneczne, które z kolei zdumiewają widzów bogactwem choreograficznych pomysłów i niezwykłą techniką ruchów. **J. L.**



Na lewo: Przy dźwiękach saksofonu...



Na prawo: Fenomenalny tancerz i aktor filmowy Fred Astaire...

Na lewo w kole: ...i jego świetna partnerka Ginger Rogers.



Na prawo: „Król jazzu" Paweł Whiteman akompanjuje na helikonie Dawidowi Rabinoff, mistrzowi gry na basach.

CIEKAWE WIADOMOŚCI

FOTOGRAFJĄ WYKAZAŁA KULISTOŚĆ ZIEMI.



Jak olbrzymie zmiany przechodziła nauka o kosmosie możemy sobie uprzytomnić, skoro zestawimy jej rezultaty w czasach starego Egiptu i Grecji z temi, które nam dały ostatnich kilka wieków. Przecież starożytni wyobrażali sobie, iż ziemia stanowi płaszczyznę, którą mityczny Atlas dźwiga na swoich barkach. „Kula" ziemska wyobrażona na najstarszych mapach rzymskich przypomina stół! Dopiero Mikołaj Kopernik skrystalizował w swojem genjalnem dziele „De revolutionibus orbium coelestium", którego oryginał znajduje się zresztą w archiwum pałacu hr. Nostitzów w Pradze, naukę o planetach, a do dziś dnia zachowała ona nadane jej przez niego wytyczne. Wiek XX, rozporządzający tyloma nowemi zdobyczami w tej dziedzinie, wydarł wszechświatowi liczne tajemnice. Oto udało się uczonym poprzeć twierdzenie o kulistości ziemi nowemi, niezbitemi dowodami. Ekspedycja stratosferyczna amerykańskiego Towarzystwa Geograficznego sfotografowała z wysokości 22.000 metrów ziemię, przyczem kamera fotograficzna objęła horyzont w promieniu 530 kilometrów. Zdjęcie to jest jednym z dowodów kulistości ziemi. Na ilustracji widzimy wrysowaną równoległą czarną linję, na tle której zauważamy krzywiznę horyzontu. Czarne pasmo na zdjęciu przedstawia łańcuch górski południoewj Dakoty.

NOWOCZESNA WENUS.



Ameryka przepadająca za wszelkiego rodzaju konkursami piękności, była ostatnio świadkiem nowej imprezy tego rodzaju, na której zjawiło się 2.600 uroczych kobiet, zajętych jako manekiny w wielkich magazynach mód. Chodziło o znalezienie kobiety o idealnych kształtach. Jury konkursu przyznało tytuł „dziewczyny o najpiękniejszej figurze Stanów Zjednoczonych" p-nie Hoff, która stała się przez noc „wielkością" swego rodzaju. W styczniu przyszłego roku laureatka walczyć będzie z angielską laureatką miss Andre o tytuł najpiękniej zbudowanej kobiety świata

(Ciąg dalszy ze str. 12-tej).

Wielkie trudności miał z osobą cesarską imci pan hrabia de Narbonne, gdy mu wypadało jako generał-kwatermistrzowi codzienne kąpiele dla Imperatora, po dworkowych kwaterach przygotowywać.

Jeszcze w Horodnie to jakoś tam było. Z zamku Zołuckiego pionierskim taborem sprowadzono wannę miedzianą, która w spuściźnie po śp. pani hrabinie Tyzenhausowej została i w której ta (a fe! cóż za rozpusta!!) ponoć nawet w zimie i to dwa razy w tygodniu, grzeszne ciało wodą cieszyła. Fatalnie było po dworach szlacheckich.

Balja i stęgiew za kąpielisko i wannę służyć musiała, a najgorzej to już w Lucjanowie wypadło Imperatorowi Kontynentu w niecce kąpieli zażywać.

Ludzie! Ludzie!! Sam dziedzic z rodziną i czeladzią przez krzaki agrestu spoglądał na te cesarskie fantazje, w głowę zachodząc nad wielkopańskiemi zachciankami. Gorąca kąpiel w czerwcu... gdy tuż około dworu Solcza płynie. Przed Wielkanocą... no to jeszcze wytłomaczalne... ale to ponoć co dnia takie fanabrje...

* * *

Nad szarą cichą ziemią kresową przeszła burza z piorunami, policzając hekatomby ofiar w ludziach.

Bajecznie kolorowy pochód ku Wschodowi, pochód kultury starego Rzymu, który zmobilizowawszy ludy zachodu, szedł na mury Bizancjum, to tylko pierwsza część Eposu. Złocisty, radosny, rozżarzony blaskami słońca w kirasach jazdy, roześmiany barwami tęczy w ułańskich kitach... „Piękna mowa senna... brzemienna nadzieją"...

Gdy „Bóg był z Napoleonem, Napoleon z nami"...

Zdziesiątkowana, spieszona, odziana w gałgany, wracała „la Grande Armée" zpod Możajska, Studnianki, Smorgoń i Oszmiany. A co etap, to mogiły, co kwatera, to czkawka konania i jęk rannych koni i ludzi dogryzanych w ranach przez wilcze stada.

Możnaby indeks grobowców żołnierzy napoleońskich na ziemiach Wileńszczyzny sporządzić okazały, a co dnia i co miesiąca, nieznanych mogił przybywa. Na Bernardyńskim cmentarzu w Wilnie, brat marszałka, generał Lefevbre spoczywa, generał Vivier u św. Jakóba w ogródku, na podwórzu zboru ewangelickiego przy Zawalnej, odnalazł Jerzy Hoppen grobowiec attaché angielskiego z roku 1812, a co mogił bezimiennych po traktach, w Ponarach, w ponurym Hadesie O. O. Dominikanów!

A ileż pamiątek cennych po Cezarze ziemia wileńska jeszcze ukrywa? W Zielonych jeziorach, ponoć skarbiec Wielkiej Armji zatopiono, chłopi zpod Ponar cyfry i guzy mundurowe wyorują, a w Mołodeckiem co dwór to muzeum napoleońskie.

Bo rozkochała się ta ziemia w obcym Cesarzu, co jutrznię Nowego Dnia niósł jej na lancach i ostrzach bagnetów.

I żywie legenda.

A tylko chłopi co u źródeł Berezyny, późno nocą z sianokosów wracają, dziwy i strachy opowiadać zwykli.

Oto gdy mgła od ługów bagiennych napłynie i ziemię otuli, widać we mgle wojsko jakieś wspaniałe na wschód ciągnąc.

Jazda w blasze na piersiach, o końskich ogonach na czakach, parki armatnie, husarze w bermycach i piechota, piechota, piechota...

A armji tej wielki cień dowodzi.

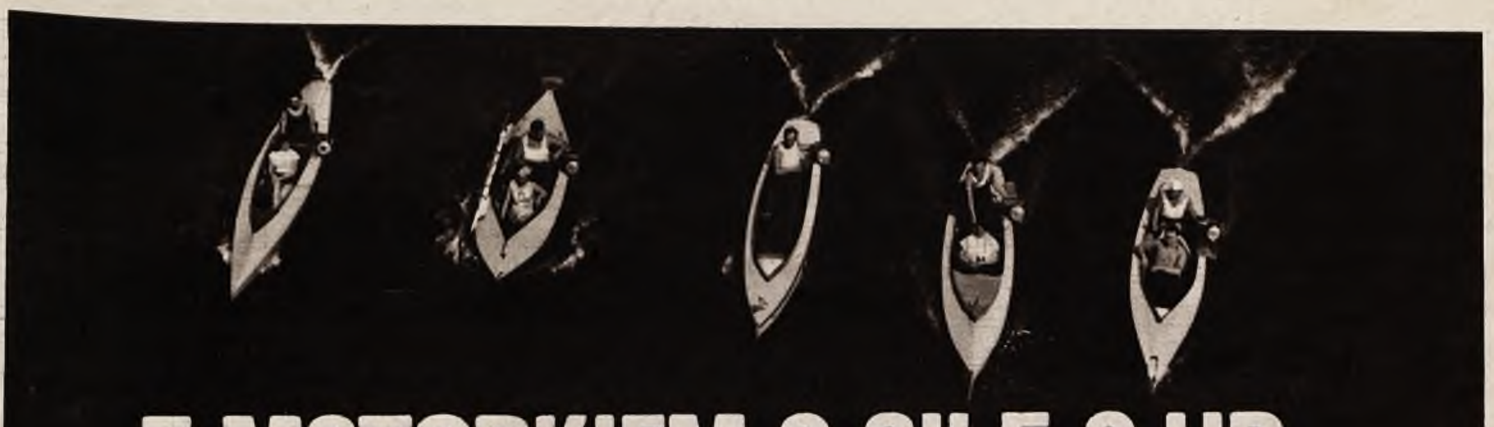
Na białym koniu w szarej kapocie, o bladej twarzy...

Wspaniały!

U źródeł Berezyny białego ogiera wstrzymuje i na wschód spogląda...

Wielki pionier nowych dróg ludzkości. — Cienie... armja cieniów... we mgle.

Feliks Dangel.



Z MOTORKIEM O SILE 2 HP...

Najmniejszą flotyllą motorową świata — to są poprostu... zmotoryzowane kajaki i małe łodzie. Nie jest to przesadą, bo kajak, ten najpopularniejszy obecnie na całym świecie sprzęt wodnej turystyki, zabiera na swój „pokład" przeciętnie zaledwie dwie osoby, a przyczepne motorki kajakowe są poprostu miniaturami motorów spalinowych. Ich waga nie przekracza kilkunastu kilogramów — dają się łatwo pomieścić na dwóch dłoniach dorosłego człowieka.

Motorek kajakowy, choć ukazał się w Polsce już przed kilku laty, ciągle jeszcze jest wielką rzadkością. Jego pojawienie się, zwłaszcza na „wodach prowincjonalnych" wywołuje wprost sensację. Dwa miasta — Warszawa i Poznań, a także i Bydgoszcz, te największe w kraju ośrodki wioślarstwa i turystyki wodnej oswoiły się już z motorowym kajakiem. Mimoto, posiadacz motoru, — taki kapitan małego yachtu motorowego — stale jest zapytywany o setki szczegółów, dotyczących motoru, jego wydajności zalet i charakterystyki. To zainteresowanie wzrosło w tym roku tembardziej, że z kilku stron Polski nadchodzą wiadomości o doskonaleniu się konstrukcji krajowych motorków, a więc dużo tańszych od dotychczas znanych, zagranicznych.

Odpowiem pokrótce na pytania, zadawane najczęściej:

Motorek kajakowy jest najprostszym, niemal najprymitywniejszym motorem spalinowym, popędzanym benzyną. Najprostszym dlatego, iż przeważnie posiada on jeden tylko cylinder, o ruchu t. zw. dwutaktowym. Oznacza to, iż na dwa ruchy tłoka wewnątrz cylindra wypada tylko jeden wybuch mieszanki (benzyny zmieszanej z powietrzem). Należy zaznaczyć, że motory samochodowe są najczęściej motorami czterotaktowemi, przeto nieco bardziej skomplikowanemi w układzie.

Motor składa się właściwie tylko z trzech części, łatwo rozbieralnych i dających się bez trudu od siebie oddzielić, a to: z cylindra, w którym następuje wybuch, — karteru, w którym ruch posuwisty tłoka zostaje zamieniony na obrotowy, oraz z karburatora, w którym miesza się benzyna z powietrzem. Są oczywiście prócz tego inne części, bez których motor nie mógłby funkcjonować: magnet, wytwarzający prąd elektryczny, dostarczany do świecy, powodującej iskrę, od której zapala się mieszanka benzynowa. Prócz tego istnieją części dodatkowe, jak zbiornik na benzynę, o pojemności nie większej, niż dwa litry, propeller, czyli śruba, zanurzona w wodzie, wprawiająca łódź w ruch, wreszcie urządzenie do chłodzenia i tłumik. Motory są z reguły chłodzone wodą, czerpaną za pomocą pompki z tejże rzeki, czy jeziora, po którem kajak płynie. Ostatnio widziałem w Warszawie motorek produkcji angielskiej, chłodzony powietrzem. — Kajak nie rozwija jednak szybkości



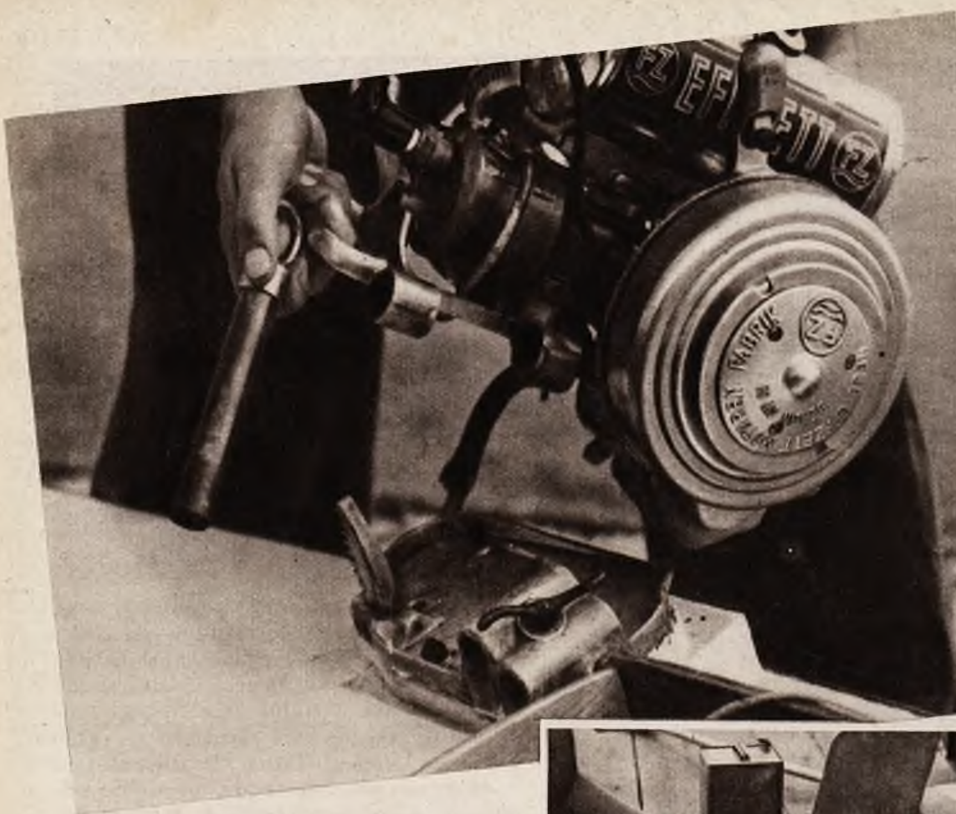
Na prawo: Przed wycieczką wyjmuje się motorek z pokrowca, nie większego od dużej chustki do nosa...



Kajaki, zaopatrzone w motorki wyjeżdżają na wycieczkę.



Na prawo: Przyczepny motorek kajakowy zajmuje bardzo mało miejsca i łatwo go można przenosić.



Chwila zakładania motoru do łodzi — na burcie widzimy płytkę metalową, do której przyśrubowuje się motor.



Na prawo: Oto jak zakłada się motorek do łodzi i jak go się napełnia benzyną.



Przy pomoście przystani warszawskiego AZS-u, najmniejsza flotylla motorowa czeka na sygnał startu...

Wszystkie zdjęcia: Fot. „AS".

tak wielkiej, by pęd powietrza mógł dostatecznie ochłodzić rozgrzane części maszyny, — motorek ten okazał się w praktyce zupełnie nieodpowiednim. Co kilka kilometrów trzeba było kajak zatrzymać dla ochłodzenia motoru. Muszę więc przestrzec zainteresowanych przed kupnem tego rodzaju maszyn. W motorkach dobrej fabrykacji chłodzenie wodą jest tak urządzone, iż pompka dostarcza motorowi do 150-ciu litrów wody na godzinę!

Motorki kajakowe produkowane są wyłącznie jako motory przyczepne, umieszczane na bocznej burcie łodzi i to na burcie lewej. Nie spotkałem dotychczas motoru innego układu, choć oglądałem maszyny wielu firm zagranicznych i polskich. Podyktowała to konieczność: z samej budowy kajaka wynika, iż motor musi się znajdować w pobliżu prowadzącego, który siedzi raczej w środku kajaka niż przy jego rufie. Motor musi być „pod ręką", choć — należy zaznaczyć — obsługa jego jest więcej niż prosta. Manipulacja przy motorze sprowadza się do poruszania jedną tylko manetką, regulującą dopływ mieszanki z karburatora do cylindra. Przy zmniejszeniu dopływu — motor pracuje wolniej, zaś przy „dodaniu gazu" — szybciej. — W czasie jazdy mogą się zdarzyć jednak niespodzianki: konieczność zatrzymania motoru i ponowne jego „zapuszczenie"; co uskutecznia się ręcznie, przy pomocy krótkiej linki, nawijanej na koło rozpędowe, — konieczność gwałtownego podniesienia w górę pracującej śruby na mieliznach, — dolewanie benzyny do zbiornika i t. p. Umieszczenie zatem motoru w środku łodzi, nie zaś z tyłu, jest nietylko bardzo wygodne, lecz nawet poprostu wskazane. Okoliczność, iż motor umieszczony jest na burcie, nie powoduje — jak sądzi się powszechnie — pochylanie się łodzi w stronę obciążoną. Przedewszystkiem motor jest bardzo lekki waży 10 do 15 kg., po drugie zaś, gdyby nawet pochylenie takie zdawało się zauważyć, zostaje ono wyrównane w czasie pracy motoru. Śruba bowiem, przy zanurzeniu w wodzie posiada pewne nachylenie ku górze, przez co w czasie jazdy unosi się nieznacznie bok łodzi w górę.

Motory przyczepne bywają rozmaite. Najpopularniejsze są typy dwukonnych, o pojemności cylindra około 105 cm³ Spotyka się również wiele motorów jeszcze słabszych, o mocy 1 KM. Najsilniejsze dochodzą do 3 i pół konia mech. Oczywiście od siły motoru zależy szybkość łodzi na wodzie, jednak szybkość ta w równym stopniu zależna jest od wielu innych okoliczności, jak budowa łodzi, jej linja, waga i obciążenie. Ten sam motor, założony do dwóch różnych łodzi, rozwinie też odmienną szybkość. Te różnice są dość znaczne. Kajak, rozwijający szybkość do 20 klm na godzinę z jedną osobą, przebędzie zaledwie 14 klm, jeśli do obsady dodamy drugiego pasażera i bagaż wycieczkowy.

Skrupulatne pomiary, jakie robiłem na Wiśle z motorem dwukonnym, przyczepionym do ciężkiego kajaka sztywnego (około 60 kg.) wraz z dwiema osobami z bagażem turystycznym, dały następujące wyniki: W górę rzeki 9 kilom. na godzinę, w dół rzeki 15 kilom. na godzinę. Przy podróży, jaką odbyłem tym samym kajakiem w trzy osoby z Warszawy do Gdańska, lecz z bardzo lekkim bagażem (bez namiotu i bez wielkich zapasów benzyny) uzyskaliśmy przeciętną szybkość „turystyczną" 14 km/godz., robiąc niekiedy po 140 km dziennie.

Spalanie benzyny jest niewielkie. Waha się ono około 1 litra na godzinę pracy motoru. Należy przytem dodać, iż wszystkie motorki pracują na tak zwanej mieszance, sporządzonej z dziesięciu do piętnastu litrów benzyny na jeden litr oleju. (Nie pomylić z pojęciem „mieszanka" w znaczeniu opisanem powyżej t. j. benzyna plus powietrze). Ma to ten „plus", iż motor oliwiony jest tym samym produktem, który stanowi jego materjał pędny.

Motorek kajakowy da się przyczepić zasadniczo do każdego kajaka i każdej łodzi, nawet nie przystosowanej do tego celu, a nawet do gumowego składaka. Oczywiście lepiej jest, jeśli kajak zostanie specjalnie zbudowany odpowiednio do swego przeznaczenia, t. j. gdy nadano mu linję zbliżoną, do motorówki, z ostrym dziobem, obciętą rufą, i odpowiednio mocnym szkieletem. Dla zapoznania się z działaniem motoru wystarczy kwandrans czasu, nawet dla zupełnego laika. Nauka rozbierania, czyszczenia części, drobnych napraw, trwa niewięcej, nad dwie godziny.

Wreszcie... rzecz najważniejsza — cena. Wobec ograniczeń dewizowych sprowadzenię motoru z Niemiec, naszego głównego i bodajże jedynego importera motorów wodnych, staje się wprost utopijnie. Motorki loco Niemcy kosztowały w ubiegłym roku 200.— do 260.— marek niemieckich, loco Polska z cłem 650.— do 800.— złotych (cło od jednego motoru wynosi około 200.— zł. to jest połowę jego wartości! Jak wspomniałem ukazały się jednak już motorki krajowej produkcji, których cena waha się od 300.— do 370.— zł. Co do ich zalet, czy wartości niestety nic nie da się powiedzieć. Są one produkowane w zbyt nikłych serjach, pozatem w tej samej serji znajdują się egzemplarze lepsze i gorsze. Przy wyborze należy przeprowadzić bardzo skrupulatne próby na wodzie.

Może legendy o motoryzacji dróg polskich lądowych i wodnych zostaną kiedyś ziszczone. Wówczas niewątpliwie zaroi się i na Wiśle i większych rzekach od jednostek... najmniejszej flotylli motorowej, a podróż kajakiem z Krakowa do Gdańska i spowrotem stanie się popularnym tygodniowym spacerem.

Roman Burzyński.



KTO ZWYCIEŻY? Łodzie z motorkami przyczepnymi
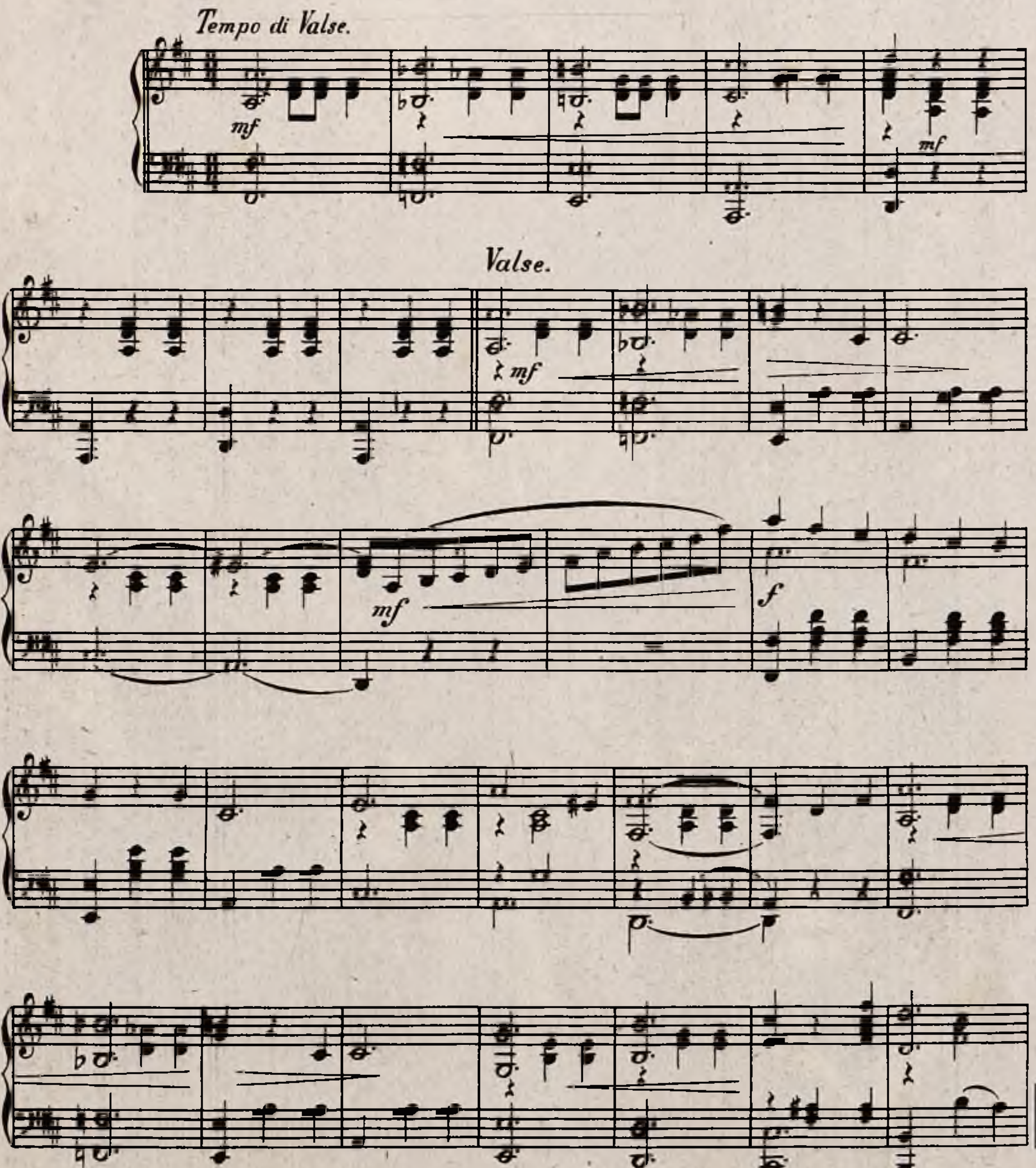


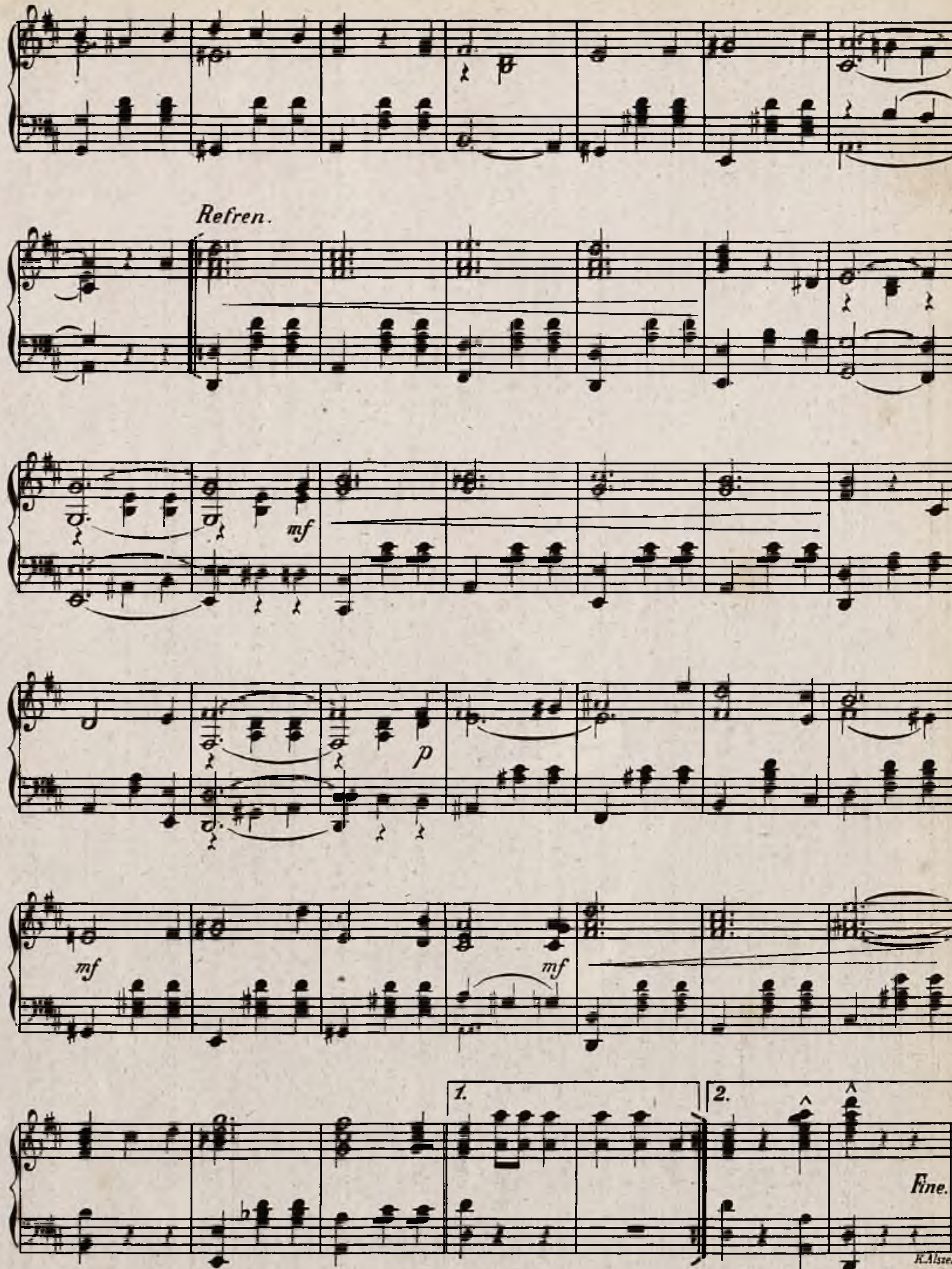
NASZ PRZEBÓJ MUZYCZNY

TAŃCZ...

WALC

Muzyka:
FELIKSA GŁOWACKIEGO







KAPITAN „FAI-TSI-LONGU"

ODCINEK 2.

Napisał H. WILDE POWIEŚĆ Tłum. JULJA RYLSKA

ILUSTR. AL. ŻMUDA

Odkąd go znalem, nie widziałem go nigdy tak poruszonym, jak przed chwilą. A porywczość jego miała wyraźnie źródło w nienawiści... Zaiste, trzeba było, aby ta tajemnicza pasażerka bardzo zawiniła, by wzbudzić taką namiętną nienawiść w zastępcy kapitana „Portosa"! Ciekawość moja rosła. Ostrożnie, żeby nie wzięto mnie za przedsiębiorczego lowelasa, lub niedyskretnego jegomościa, zacząłem spacerować tam i spowrotem po pokładzie. Przechodząc koło ławki, na której siedziały obie panie, ukradkiem spoglądałem na panią Vernod.

Była rzeczywiście piękną. Twarz jej miała wyraz poważny. Próbowałem zdefinjować ściślej ten wyraz. Widywałem już kobiety, u których wyraz takiej powagi maskował zupełny brak jakiejkolwiek myśli — powiedzmy poprostu: bezdenną głupotę. Czyżby tak było i z panią Vernod? Nie mogłem wywnioskować nic stanowczego w tym kierunku. Byłbym chciał pochwycić jej uśmiech; uśmiech jest kluczem do odcyfrowania duszy człowieka. Bywa inteligentny, lub głupi, — gorzki lub pogodny. U kobiet, jeszcze absolutniej może, niż u mężczyzn, uśmiech zdolny jest odkryć prawdziwe oblicze ich serca i umysłu. Lecz nie zobaczyłem ani razu jej uśmiechu. Przed chwilą śmiała się wprawdzie i śmiech ten tak bardzo oburzył Rancégo. Lecz śmiech — to nie uśmiech; śmiech nie ma tej samej wartości probierczej — w moich oczach przynajmniej. — Poza tem nie patrzyłem na nią, w chwili, kiedy się śmiała.

Wrażenia, których doznawałem, spoglądając na nią, nie były więc sprecyzowane. Z wyjątkiem jednego: skonstatowałem niezbicie, że była piękną. Tak piękną, że nawet żadna kobieta nie mogłaby zaprzeczyć jej urody. Lecz w każdym razie trudno mi było pogodzić się z myślą, że pani Vernod mogłaby być kobietą z rodzaju „fatalnych" — czy „wampów" — tem mniej z typu kobiet zbrodniczych. A ze złości z jaką Rancé mówił o niej, możnaby to było wnosić.

Oczekiwałem więc bardzo niecierpliwie powrotu mego przyjaciela. Usiadłem w pobliżu pani Vernod i obserwowałem ją dalej. Obie panie otworzyły teraz książki i zdawały się być pogrążone w czytaniu.

A przed nami wybrzeże roztaczało zwolna rozmaitość swej poszarpanej linji. Byliśmy właśnie przy skalistych wysepkach, które częściowo zamykają dostęp do delty rzeki Han-Kiang, oraz drogę do Swatow. Pani Vernod podniosła głowę i wzrok jej w zamyśleniu począł błądzić po owem wybrzeżu. Śledziłem z uwagą, czy nie pochwycę czegoś szczególnego w tem spojrzeniu. Lecz pani Vernod siedziała spokojnie, złożywszy książkę na kolanach. Może poprostu zastanawiała się nad tem, co właśnie przed chwilą przeczytała... Obserwowałem subtelne jej rysy, znamionujące niezaprzeczenie dużą kulturę i szlachetność uczuć. — „Ptasi móżdżek" — powiedział Rancé. — Nie mogłem zgodzić się na to określenie. — A może piękność tej kobiety mieszała mój sąd o niej?

W tej chwili nadszedł doktór okrętowy. Był to również stary znajomy; lecz nie budził we mnie tej samej sympatji, co Rance. Był mi obojętny; jeden z tych ludzi, z którymi zamienia się codziennie kilka słów, bo spotykając ich codziennie, jest się zmuszonym do tego. Był to człowiek 50-letni o dosyć ostrym języku... Znał doskonale wszystkie plotki i skandale wśród europejskich kolonij. od Yokohamy, do Singapoor — i przyczyniał się wydatnie do rozpowszechniania ich.

Od 20-tu lat sprawowawł służbę na statkach pasażerskich, kursujących między Marsylją i Japonją — i nudził się setnie. Żeby zabić tę nudę, utworzył sobie cały repertuar skandalicznych historyj. Jedne z nich były prawdziwe, drugie, potraktowane przez soczewkę powiększającego szkła — inne wreszcie całkiem fikcyjne. Nim zauważyłem, że zbliża się ku mnie, musiał widocznie spostrzec, że śledziłem ukradkiem panią Vernod. Doszedłszy bowiem do mnie, pochylił się i porozumiewawczo mrużąc oko, zaczął mówić cicho:

— O — oczkujemy w stronę pani Vernod? — Ma rasę niewiasta! — Przepiękna twarz! — Biust, idealny wprost, nie mówiąc już o reszcie... Chętnie poasystowałby jej pan trochę zbliska? — Co? — Ja zresztą także... Ale, zdaje mi się, że niema się czego spodziewać w tym kierunku... Widziałem ją już podczas innych podróży. Wyniosła i zimna. Próbowałem rozmawiać z nią: „Tak, doktorze. — Nie doktorze"... — Rok temu, poczyniłem nawet pewne kroki... wstępne. Bo jak pan wie, psychologja kobiet podlega nieoczekiwanym zmianom na morzu. Udaje się czasem bardzo łatwo uzyskać od takiej pani na morzu to, na co z trudnością tylko zgodziłaby się na lądzie...

I filuternie zmrużył znów oko.

— Czemu tak się dzieje — doprawdy nie wiem! Czy to jakieś fizjologiczne wpływy — czy zmiany atmosfery — czy nudy? Czy, poprostu, te zaciszne, mroczne kąciki, wieczorami, na pokładach... Ale porobiłem dużo, nader ciekawych — i nader udanych — doświadczeń w tym kierunku...

Zatarł z zadowoleniem ręce i ciągnął dalej:

— Ale z panią Vernod straciłem tylko czas napróżno. Zaryzykowałem kilka figlarnych powiedzonek... Akurat wybrałem się! Zrobiła minę obrażonej gęsi! — A przecież, musi pan wiedzieć, że to jest kobieta, o której opowiadają djabelnie ciekawe rzeczy...

— Cóż takiego? — rzuciłem niby od niechcenia.

— Fiuuu! — gwizdnął. — To i owo... dosyć niejasne historje... Podobno była kiedyś żoną Chińczyka...

— Chińczyka!? — zawołałem zdumiony. — To coś niezwykłego! — Naprawdę. ś l u b n ą żoną Chińczyka?

— Tak. Dziwne to — ale tak mówią. Podobno porwano ją — zmuszono do zaślubienia — i trzymano w zamknięciu. Ale udało się jej uciec — przyczem jak mówią — okazała niezwykłą dzielność i energję. Bliższego nie potrafię panu nic powiedzieć, jak i gdzie to było. Tyle wiem, że okręt, na którym uciekła, przeszedł przez jakieś niebardzo czyste... ani jasne koleje... Wreszcie zatopił go jakiś krążownik angielski. Podobno dzisiejsza pani Vernod była

kochanką kapitana owego zatopionego okrętu... Inni znów mówią, że była kochanką oficera angielskiego, który komenderował krążownikiem... Że potem miała jeszcze dość licznych kochanków... — Teraz, jak pan widzi, ustatkowała się. Natknęła się gdzieś w Chinach na konsula generalnego Vernoda i ten ożenił się z nią — nie wiem także dokładnie gdzie i kiedy... Chciałbym mieć bliższe szczegóły o tem wszystkiem. — Ale, prawdopodobnie, ona jedna byłaby tylko w możności dać mi je. Niestety, trudną ją pytać...

Westchnął, szczerze zmartwiony, że do listy pasażerek, które zaszczyciły go swemi względami, nie może dodać nazwiska pani Vernod — i że nie posiadał żadnych rzeczywistych danych o jej miłostkach. Dodał jeszcze:

— Gdyby się tak znało jakieś fakty rzeczywiste z jej życia i gdyby się mogło dać jej dyskretnie do zrozumienia, że się ją zna — możeby nie robiła takiej świętoszki! Bo, do wszystkich djabłów! — ta kobieta wygląda, że musiała mieć niezły temperamencik! — Młoda jest jeszcze — a wie pan, Vernod jest stary...

Westchnął znów i spod oka spojrzał na panią Vernod.

— Zagadka! — Proszę spojrzeć na nią. Chętnie rozwiązałbym tę szaradę... I rozebrał pokolei wszystkie jej dane...

Wydawał mi się coraz bardziej podobnym do satyra, kiedy patrzy na pierzchające przed sobą nimfy. To też przeszedłem na inny temat.

— Widzi pan, jak woda traci powoli przeźroczystość, a nabiera opalowych odcieni? — rzekłem.

— To Si-Kiang daje znać o sobie — zaczął mi tłumaczyć — chociaż jesteśmy jeszcze o 180 mil od niego. A Si-Kiang, to jeszcze nic wobec Yang-Tseu! Na całą dobę przed jego ujściem widzi się już wodę burą, jak w rzece podczas wylewu. — Może partyjkę szachów?

Wymówiłem się, udając, że boli mnie nieco głowa. Czekałem przecież na Rancégo. Doktór zrobił jeszcze kilka uwag o pani Vernod — i oddalił się w poszukiwaniu partnera do partji szachów.

Obserwowałem dalej ukradkiem młodą kobietę, jeszcze bardziej zaintrygowany teraz. Wróciła do swej lektury. Czytała, spokojna i cicha — miało się wrażenie, że nie obchodzi jej zgoła, iż przepływamy wzdłuż wybrzeża Swatowa. Rozmyślałem o tem, co przed chwilą powiedział mi doktór — i znowu nie byłem w stanie wyobrazić sobie, żeby kobieta ta mogła być ową awanturnicą, o której kolejach dowiedziałem się tak dziwnych, lecz mało sprecyzowanych rzeczy.

Po chwili pani Vernod wstała; towarzyszka jej uczyniła to samo i odeszły obie.

Kiedy Rancé ukazał się, pani Vernod nie było już na pokładzie.

— Chodź pan do mnie — rzekł — o tej godzinie pokład roi się od pasażerów.

Widzę go dziś jeszcze, siedzącego na swem wąziutkiem łóżku, z oczyma zapatrzonemi, jakby w jakąś daleką wizję i błyszczącemi wewnętrznym gniewem. Porządkował w myśli szczegóły dziwnej opowieści, którą miałem usłyszeć tego wieczora.

Morze było spokojne. Okręt nie kołysał się prawie. Przez okrągłe okienko kabiny widziałem niebieski kontur dalekiego lądu, który z każdą milą zmieniał kształt i charakter.

I oto, co opowiedział mi Rancé.

III.

Lecz zanim jeszcze zaczął, odezwałem się:

— Doktór udzielił mi ciekawych szczegółów o pani Vernod...

— Ach tak! — odrzucił z ironją. — „Kobieta, która poślubiła Chińczyka — bardzo energiczna — śmiała ucieczka — zmieniała kochanków jak rękawiczki — etc". — Są tylko dwie osoby, które znają dokładnie całą prawdę: ona i ja. A inni, „haftują" — jak się to mówi... A co do jej energji — no tak! — Ale nacóż opowiadać mi o tem panu? — Fakty same będą mówiły za siebie.



Widzę go dziś jeszcze siedzącego na swem wąziutkiem łóżku...

Zapatrzony w okrągłe okienko, ścigając okiem siniejące w oddali wybrzeże, zaczął:

W r. 1918, kiedy przyszło zawieszenie broni, znajdowałem się na Dalekim Wschodzie. Miałem wówczas 30 lat — nawet niezupełnie skończonych. Podczas wojny dosłużyłem się oszywki bosmanmata. Jak pan wie, poza szkołą powszechną nie posiadam innego wykształcenia. Ale nie byłem głupszy od niejednego, który miał wyższe szkoły za sobą. Nauczyłem się wielu rzeczy w życiu — i na morzu. Dzięki temu i dzięki człowiekowi, który odegrał główną rolę w tej historji, zdołałem wybić się jakoś w życiu.

Mogłem był pozostać w marynarce wojennej, doczekać się spensjonowania — i ubiegać się wtedy o jakąś posadę we Francji. Ale nie miałem ochoty. Dość już natłukłem się po świecie, na wojennych okrętach: kiedy wojna wybuchła ukończyłem akurat służbę wojskową — a później w ciężkich warunkach, w ciągu 4 lat wojny, użyłem na wojskowej marynarce! Nie, żeby mi się znudziła sama włóczęga; miałem ochotę włóczyć się dalej po morzach — ale, jako cywil.

Kiedy więc wojna skończyła się i kiedy zwolniono mnie, nie robiłem żadnych starań, żeby służyć dalej. Poczułem się wolny, nie miałem żadnych obowiązków rodzinnych. Po raz pierwszy w życiu byłem sobie panem — zupełnym! Miałem trochę oszczędności i trochę grosza — akurat wtedy dostałem nieduży spadek. Mówiłem sobie, że mam czas; że mogę, nie spiesząc się, oglądać się za jakąś pracą. I oglądając się tak, kręciłem się dalej po Dalekim Wschodzie, gdzie mi się bardzo podobało i gdzie chętnie byłbym na dobre pozostał.

Mieszkałem kolejno w Saigonie, w Hue, w Hanoi; wszędzie brałem — że tak powiem na próbę — różne posady. Ale były to wszystko zajęcia biurowe i, tem samem już, nie odpowiadały mi. A także i dlatego, że od ludzi, z którymi miałem przy nich do czynienia, zalatywało zaduchem — zgnilizną moralną... Mogłem był dostać zajęcie gdzieś w lasach; ale przywykłem do niezmiernych horyzontów morskich... I jak pan widzi, skończyło się tem, że wróciłem do morza — tym razem już chyba na dobre! — Ale wtedy trzeba mi było — jeśli już nie patrzeć na nie ciągle — to przynajmniej mieć poczucie, że niedaleko je mam od siebie i węszyć w podmuchach wiatru ten jego zapach — taki swojski!

Jak wielu ludzi, przybyłych w te strony z Zachodu, stałem się więc takim gościem „do wszystkiego" — co to nigdzie i nigdy miejsca długo nie zagrzeje. Rzucałem posadę z chwilą, kiedy mi się tylko coś nie podobało. Raz byłem naczelnikiem obwodu, to znów odcinka linji kolejowej — to znów handlowałem z ramienia Towarzystwa Indochińskiego, żeby w pół roku później być dozorcą przy rządowych robotach budowlanych. Badałem z ramienia rządu tereny pod kopalnie — i dowodziłem miejscową milicją. Życie takie miało zresztą pewien urok... Pan, który dużo podróżował po kolonjach — musi znać legjon osobników w tym rodzaju.

Trwało to czas jakiś. Potem rzuciłem francuskie Indochiny.

Puściłem się do Kantonu i do Hong-Kongu — ot, z ciekawości, żeby i tam powłóczyć się trochę i zobaczyć, czy nie znajdę czegoś, o co się będzie można zaczepić.

Ale, w okolicy Kwang-Tungu i wzdłuż wybrzeża nie spotkałem nic korzystnego. Agitacja komunistyczna, popierana gorąco przez czerwonych proroków z Moskwy, zaczynała dawać się odczuwać w Kantonie. Borodin i towarzysze, grasowali tam już wówczas, a Sun-Yat-Sen trzymał z nimi. Interesy szły bardzo kiepsko. Czuło się w powietrzu nadciągającą burzę. Wybuchła wreszcie i wtedy wszystko się załamało.

W Hong-Kongu byłem w stosunkach z pewnym człowiekiem, przedstawicielem dużej tamtejszej firmy herbacianej. Był czemś w rodzaju inspektora; jeździł często na lustracje po filjach swego towarzystwa. Pewnego dnia rzekł do mnie:

— Szuka pan posady. Mam coś dla pana. Pajedzie pan ze mną teraz do Swatow, gdzie zatrzymam się podczas najbliższego mego objazdu. Firma ma tam duże składy. Jak pan wie, cała wschodnia część Kwan-Tungu, a w szczególności Fo-Kien, posiadają glimat i temperaturę, stwarzające wymarzone warunki dla hodowli krzewu herbacianego.

(C. d. n.)

ŻYWY BAROMETR...
WIENER PHOTO KURIER.





Na lewo: Na wystawie „niemieckiej kobiety przy pracy", która odbyła się w Schöneberg podziwiać było można nadwyraz ciekawe roboty klockowe.
R. Sennecke.

KORONKI KLOCKOWE

Koronkarstwem klockowem zajmowano się w Polsce sporadycznie w rozmaitych okolicach, ale ponieważ koronki te robione były przeważnie przez inteligencję, wyrób ich i sprzedaż nie były zorganizowane.

Naukę koronek klockowych pobierano przed wojną w specjalnych szkołach, z których najwięcej znane były w Małopolsce szkoły we Lwowie, Jaworowie, Kańczudze, Bobowej, Zakopanem i Krakowie.

Technika klockowa obejmuje rozmaite odmiany. W Polsce wyrabiano koronki klockowe w pięciu odmianach tej techniki: **Idrja, Porchon, Guipure, Duchesse, Reticello.** We Francji, Belgji i we Włoszech znane są jeszcze inne odmiany koronek klockowych, jak: **Valenciennes, Malines, Chantilly, Blonde** i inne.

Koronki klockowe, których technikę omówimy metodycznie w „Asie", należą obok koronek igiełkowych (Nr 33, 34 i 35 „Asa" z r. 1935), rzec można, do arystokracji koronkarstwa, jako **koronki prawdziwe.**

Z odmian koronek klockowych, wyrabianych w Polsce, najłatwiejszą jest „Idrja", której motywy złożone są z samych tasiemeczek, robionych klockami i łączonych z sobą w desenie. Przy klockowaniu grubszem używa się w Idrji bardzo małej ilości klocków, a to 5—6—7 par. Przy cieńszych zaś a szerszych tasiemkach używamy i kilka razy tyle klocków. Najwięcej, bo zwykle aż kilkadziesiąt par, używa się przy robocie walansienek.

My tutaj przerobimy technikę „Porchon". Jest ona nieco trudniejsza, ale poznanie i wyuczenie się jej ułatwia orjentację i w innych technikach.

Koronki klockowe wymagają specjalnego aparatu i przyborów do wykonywania. Główną częścią takiego aparaciku jest poduszka, na której powstaje koronka. Poduszka ma kształt walca i spoczywa w szkatułce drewnianej o bokach półkolisto wyciętych. Klocki 14-centymetrowej długości, toczone z twardego drzewa, szpilki na wagę (nr. 6), wzory na kratkowanym papierze, naklejone na kartonie oraz nici lniane, kordonek lub bawełna (do nauki nr. 8 z połyskiem), to reszta potrzebnych przyborów do wyrobu koronek klockowych.

Poduszka do robót klockowych ma zwykle wymiar 30—50, ale może mieć także 50—70 cm. Obwód walca jest szerokością poduszki. Napełniamy ją suchemi trocinami drzewnemi drobniutkiemi lub też otrębami, bardzo silnie ubitemi, to też poduszka musi mieć podwójne poszwy. Jedna z bardzo mocnego a gęstego płótna, a druga (wierzchnia) zazwyczaj z jakiejś zielonej materji, również dość mocnej.

Po zeszyciu pierwszej poszwy z płótna złożonego w pół, robimy po obu bokach dobrze szerokie obręby, które nawlekamy mocnym sznurkiem. Jeden odrazu mocno ściągamy i zawiązujemy sznurek. Teraz nadajemy poszwie kształt walca przez włożenie na dno (gdzie ściągnięty sznurek) krążka tekturowego, podług którego krojona była poszwa. Następnie sypiemy trociny i mocno je co chwilę ugniatamy, bo warunkiem najważniejszym jest, że poduszka musi być całkiem twarda. Gdy ją całkowicie wypełnimy, wykładamy na trociny drugi krążek tektury, zawiązując i ten bok bardzo silnie sznurkiem. Założenie wierzchniej poszwy jest już znacznie łatwiejsze. Ściągamy ją również przy pomocy sznurka.



Wałek do robót klockowych umieszczony na podstawce, dający się dowolnie podwyższać, lub zniżać.

Gotową poduszkę wkładamy do szkatułki i stawiamy na stoliku. Najlepszy jego wymiar byłby 70 cm. wysokości, aby można było patrzeć na robotę z góry, nie podnosząc zbytnio rąk przy robocie, bo inaczej staje się ona zbyt męczącą, niezgodna z nowoczesną organizacją pracy.

Najwygodniej klockować przy aparacie, który może się zniżać lub podnosić w stosunku do wzrostu pracującej osoby. Aparat taki ma na blaciku przymocowaną szkatułkę, w którą wkładamy poduszkę. Łatwy do przenoszenia, daje nam tę wygodę, że można go dowolnie przestawiać czy w dzień pod okno, czy wieczorem bliżej lampy. (Reprodukujemy obok taki aparacik).

Rysunki z wzorami do koronek klockowych mogą być rozmaicie przygotowywane. Niektóre wzory rysujemy na klockowych wyciągamy wzór atramentem albo tuszem na papierze lub kalce. Wzory mogą być także fotografowane lub litografowane, ale wszystkie w przygotowaniu do roboty muszą być podklejone grubym papierem.

Do nauki przygotować należy 25 par klocków.

Byłoby niezmiernie korzystnem, gdyby u nas, w Polsce, rozpowszechnił się masowy wyrób koronek i wstaweczek klockowych, których tyle potrzeba do papierze kratkowanym, przeważnie dla techniki Porchon. Dla innych technik bielizny osobistej, pościelowej czy stołowej, do kap czy firanek. Wzory szersze znajdują równie liczne zastosowanie w szatach liturgicznych i obrusach kościelnych. Zbyt zatem na tego rodzaju koronki, odznaczające się przytem wielką trwałością, jest zawsze zapewniony i mógłby zaważyć korzystnie na budżetach skromnych gospodarstw domowych.

Przystępujemy do pracy, nawijając nici na klocki. Biorę klocek do lewej ręki. Koniec nitki kładę na wydrążeniu klocka, czyli na t. zw. szyjce. Przytrzymuję koniec nitki wielkim palcem lewej ręki. Nić zwracam ku sobie i nawijam z 10 razy ku sobie na wydrążeniu. Następnie biorę klocek do prawej i nawijam dalej już od siebie, tak jak nawija się bawełnę na kłębki, dopóki całe wydrążenie klocka nie wypełni się. Przy masowej produkcji koronek klockowych można klocki nawijać przy pomocy specjalnej maszynki.

Klocki przygotowuje się do roboty parkami i tak najlepiej je odrazu nawijać, przygotowawszy na drugi klocek taką samą ilość nici, poczem nawinąć je od końca i będą dwa klocki połączone jedną nitką. Można również wiązać po dwa klocki za nawinięte nici albo przy pomocy zwykłego węzła, albo węzłem koronkarskim, opisanym przy technice koronek teneryfowych („As" Nr. 15 r. 1936). Długość nitki między dwoma klockami powinna wynosić mniej więcej 15 cm.

Jeżeli parki łączymy, wiążąc węzły, po nawinięciu klocków, wypadłyby węzły w robocie wszystkie razem, do czego niepodobna dopuścić. Radzimy sobie w ten sposób, że na jednym klocku nawijamy jakieś pół metra bawełny z drugiego klocka, razem z węzłem, na innym nawijamy jakieś ćwierć metra razem z węzłem i tak w każdej parce umieszcza się węzły w innem miejscu i wtedy przy robocie węzełki wystąpią w rozmaitych punktach, nie psując całości.

Jest jeszcze jedna ważna czynność przy nawijaniu nici na klocki. Aby nić trzymała się trwale klocka i zesuwała się powoli przy robocie, wiążemy ją w następujący sposób: z nawiniętej pary bierzemy jeden klocek w prawą rękę (drugi leży na stole) i nić z niego chwytamy trzecim palcem lewej ręki i przytrzymujemy ją w dłoni. Następnie okalamy nicią, od prawej ręki ku lewej zewnątrz, obydwa wyciągnięte palce lewej ręki ,a klockiem manewrujemy tak, że wkładamy jego główkę zewnątrz od dołu między wyciągnięte dwa palce prosto do pętlicy, która utworzyła się naokoło pierwszego palca lewej ręki. Obracamy klocek główką do góry, pętlica z pierwszego palca spada, a trzecim palcem lewej ręki, którym trzymałyśmy dotąd nitkę w dłoni, pociągamy tę nitkę mocno ku sobie i zobaczymy, jak ona zahaczyła się na klocku. Teraz trzymać się ona będzie stale klocka, a w robocie, gdy klockiem skręcimy na prawo, nić przedłuży się tylko o tyle, ile nam potrzeba.

W podany sposób zahaczyć bawełnę

na każdym klocku. Mając wszystkie klocki przygotowane, przypiąć wzór koronki na środku poduszki przy pomocy szpilek lub specjalnie ku temu służących widełek. Obok rysunku na poduszce należy po prawej stronie wpiąć w poduszkę kilkadziesiąt szpilek.

Na rysunku „A" przedstawiony jest graficznie zasadniczy ścieg klockowy. Tworzy on skośny kwadracik. Wykonany jest dwoma parami klocków, które wychodzą z punktów a) i b), zawieszone daleko od siebie, aby kwadracik był widoczniejszy. To samo widzimy także na fotografji wałka z podstawką.

Teraz możemy zacząć klockowanie. I to jest graficznie przedstawione na rysunku obok, oznaczonym literą „B". W punktach a, b, c, d, umieszczone są na szpilkach pojedyncze pary klocków. W punkcie e — zawiesić na jednej szpilce dwie pary. Z tego też punktu zaczyna się klockowanie.

Ścieg klockowy może być albo „zasadniczy" albo „ozdobny". Różnica polega na tem, że robota wykonana ściegiem ozdobnym jest sztywniejsza i mocniejsza, zaś ścieg zasadniczy jest delikatny, wiotki.

Naukę klockowania rozpoczniemy, klockując pasek gładkiego płócienka. Aby jego brzegi trzymały się silniej, zastosujemy ścieg ozdobny.

Klockuje się zawsze dwoma parami równocześnie. Ścieg klockowy składa się z trzech punktów, które nazywamy „całem przerobieniem". Termin „przekręcić" oznacza przekładanie klocków tej samej pary na lewo (nigdy na prawo). Termin „przemienić" oznacza czynność przełożenia dwóch najbliższych nitek z dwóch najbliższych par w kierunku na prawo.

Wracamy do punktu wyjściowego klockowania, oznaczonym literą „e". W punkcie tym, jak wspomniano wyżej, znajdują się dwie pary klocków, umieszczone na jednej szpilce. Biorę z nich jedną do lewej ręki, a drugą do prawej. Zaczynam klockowanie, wykonując ścieg w trzech punktach:

Punkt pierwszy: Środkowy klocek z lewej ręki przekładam do prawej ręki, a środkowy klocek z prawej ręki przekładam odrazu do lewej ręki. Tak „przemieniam" środkowe klocki obu par ,trzymanych w obu rękach.

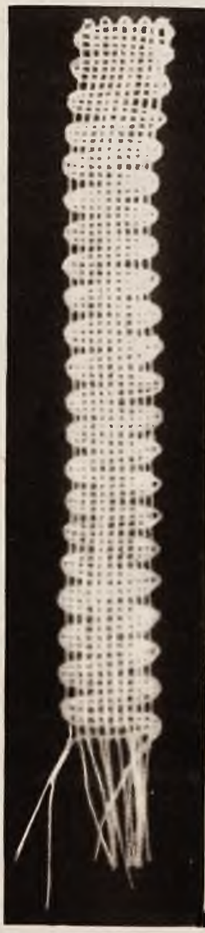
Punkt drugi: W obydwu rękach równocześnie klocki po prawej stronie „przekręcamy" raz na lewo, czyli prawy klocek kładę za lewy w tej samej ręce.

Punkt trzeci: Tu robimy to samo co w punkcie pierwszym, t. j. przekładamy środkowy klocek z lewej ręki na prawo za środkowy klocek w prawej ręce. Środkowy klocek z prawej ręki przechodzi do lewej. „Przemieniamy" zatem środkowe klocki dwu par, trzymanych w obu rękach.

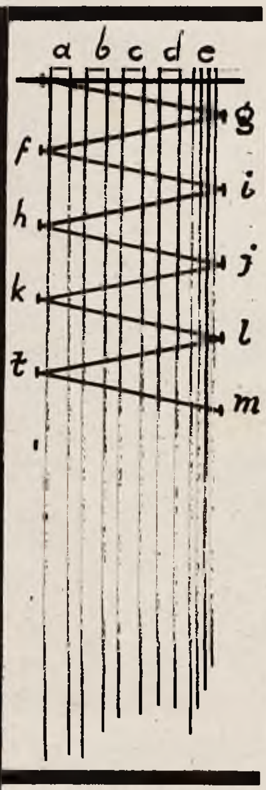
Po zrobieniu trzech punktów widzimy, że uformował się skośny kwadracik, który nazywa się „całem przerobieniem" zasadniczego ściegu klockowego.

Poniżej: Kwadratowa serwetka, wykonana na klockach techniką gipiurową z zastosowaniem ząbkowanego płócienka.





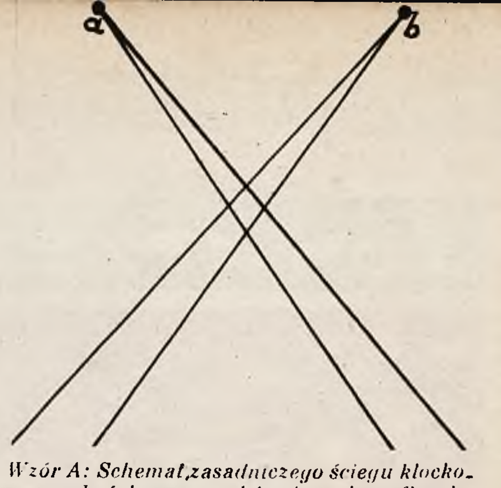
Po lewej: Płócienko w kształcie paska, wykonane z sześciu par klocków wedle schematu na wzorze B.



Po przerobieniu pierwszego ściegu w punkcie „e", rozciągam obydwie parki w obu rękach w bok, by ścieg wyrównać i zacieśnić. Potem parkę prawą, skrajną, odkładam ku górze w tył poduszki. Pozostałą w lewej ręce parkę biorę do prawej ręki, a lewą sięgam po nową parkę, przypiętą w punkcie „d". Teraz temi dwoma parami klockuję taki sam ścieg jak poprzedni. (Przy nauce klockowania dobrze jest w początkach każdy nowy ścieg wyciągnąć w dół i boki, by dobrze wyrównać parki).

Po zrobieniu nowego ściegu, odkładam prawą parkę na prawo. (Dobrze jest w początkach nauki podpinać te odkładane parki szpilką na boku). Teraz lewą parkę biorę do prawej ręki, a lewą dobieram następną parkę z lewej strony, a więc z punktu „c" i znów przerabiam ścieg jak poprzednio. Następnie klockuję w punkcie „b" i w punkcie „a".

Gdy przerobię ostatnie dwie parki, wtedy wbijam nową szpilkę, a mianowicie pomiędzy te dwie ostatnio przerobione parki, oczywiście gdy ścieg w punkcie „a" jest całkowicie skończony. Szpilkę wbijam tuż obok szpilki w punkcie „a". Aby wbić szpilkę, muszę wziąć obie pary do jednej ręki, lewej, a to w ten sposób że lewą parkę trzymam między pierwszym a drugim palcem, a prawą parkę między drugim a trzecim palcem. Uwolniwszy tak prawą rękę, mogę przy jej pomocy wbić potrzebną mi szpilkę pod punktem „a".



Wzór A: Schemat zasadniczego ściegu klockowego z dwóch par, przedstawionych graficznie

Po lewej: Wzór B: Schemat przerabiania płócienka z sześciu par klocków.

Możnaby właściwie wbić tę szpilkę już w punkcie „f", aby jednak góra płócienka była sztywniejsza i lepiej usztywniała początek roboty, wbijamy właśnie tę szpilkę nieco poniżej punktu „a". Po wbiciu szpilki, przerabiam znów pełny ścieg klockowy. Tym sposobem szpilka zostaje zamknięta niejako przy pomocy dwóch ściegów klockowych. Takie podwójne przerobienie przed i za szpilką, to jest „ścieg ozdobny". Teraz widać różnicę pomiędzy ściegiem zasadniczym a ozdobnym. Zasadniczy polega na jednem tylko przerobieniu i wbiciu szpilki w środek kwadracika.

Po przerobieniu ściegu po szpilce, lewą skrajną parkę odkładam na górę poduszki, czyli zawieszam w tyle poduszki, parkę prawą przekładam do lewej ręki a do prawej dobieram parkę z prawej strony i przerabiam jak w poprzednim rzędzie, z tą różnicą, że posuwam się ku prawemu brzegowi.

Gdy przerobię ostatnie dwie parki i wbiję szpilkę w punkt „g", wtedy klockuję drugie przerobienie. Skrajną parkę prawą odrzucam znów na górę w tył poduszki, o do parki lewej, przerzuconej do prawej ręki, dobieram w lewą rękę parkę z lewej strony i przerabiam cały rząd od prawego brzegu roboty do lewego brzegu, czyli do punktu „f".

Jak z tego widać, klockuje się „gładkie płócienko" przez całą szerokość paska ,nigdzie nie wbijając szpilki, tylko na brzegach, w linjach pionowych.

Po przerobieniu każdego rządka, należy wiszące klocki wyrównać i ściągnąć w dół, parkę zaś spacerującą przy przerabianiu rzędów tam i spowrotem, należy wyciągnąć silnie w bok po przerobieniu każdego rządka. Parki skrajne na lewym i prawym brzegu roboty zawsze po przerobieniu powinny być odkładane na górę poduszki, by tym sposobem brzegi koronki były silnie wyciągnięte.

Gdy tak przerobimy wszystkie punkty aż do dołu prostokąta, mamy pasek gładkiego płócienka gotowy. Przypatrzywszy się w tej robocie widzimy, że klockowanie jest to zwykłe cerowanie, czyli elementarne tkactwo.

Dalsze opisy przyniosą inne ściegi klockowe, które bardzo skomplikowane nawet wzory pozwalają wykonywać przy pomocy tylko „przekręcania" i „przemieniania" par klocków i odpowiedniego umocowywania szpilek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŻYCIE towarzyskie i artystyczne



ŚLUB W POLSKIEJ ARYSTOKRACJI

W kościele św. Florjana w Krakowie odbył się dn. 2. VI. ślub p. Marji Jednowskiej, córki śp. Marjana i Zofji z Klemensiewiczów Jednowskich z Andrzejem hr. Bnińskim, synem Hilarego i Jadwigi z hr. Tarnowskich. Związek małżeński pobłogosławił ks. prałat Niemczewski, proboszcz parafji św. Florjana i wygłosił następnie do nowożeńców krótkie przemówienie. W orszaku ślubnym zauważyliśmy matkę panny młodej, rodziców pana młodego, Hieronima hr. Tarnowskiego z Rudnika, b. wojewodę poznańskiego Adolfa hr. Bnińskiego z córkami, hr. Adama Branickiego z Wilanowa, Romana hr. Bnińskiego sen., rodzeństwo pana młodego, jak również reprezentantów rodzin Klemensiewiczów, hr. Mycielskich, Wierzchowskich, Jordan-Rozwadowskich, Popielów. Twardowskich, Jaworskich, Gabrjelów, Szaszkiewiczów, hr. Komorowskich, hr. Tyszkiewiczów, Podobińskich itd. Przybyła również delegacja korp. akad. „Corona", której pan młody jest filistrem. W przeddzień ślubu drużynę weselną oraz gości podejmował rautem hr. Hieronim Tarnowski w pałacu Tarnowskich na Szlaku, natomiast matka panny młodej po obrzędzie ślubnym przyjęła śniadaniem rodzinę i gości w salonach Grand Hotelu. Toast na cześć państwa młodych wzniósł Hieronim hr. Tarnowski, a tańce zakończyły gody weselne.

MADAME BUTTERFLY

Tutyłową partję opery „Madame Butterfly" — Cho-Cho-San śpiewała ostatnio na deskach opery poznańskiej uzdolniona artystka Gizela Poschówna. Piękny głos, jak również finezja gry scenicznej, zyskały jej duży sukces.



UROCZYSTOŚCI WESELNE W DOMU HABSBURGÓW



Cały wiedeński high-life z arc. Ottonem i licznymi członkami domu Habsburgów na czele wziął udział w uroczystościach weselnych z okazji ślubu ks. Ernesta v. Hohenberg, syna zamordowanego następcy tronu austr. z Angielką p. Teresą Wood. Pan młody posiada starszego brata, oraz siostrę ks. Zofję za hr. Fryderykiem v. Nostitz-Rieneck. Na zdjęciu młoda para opuszcza kościół św. Karola.

ZE SCENY POZNAŃSKIEJ



Teatr Polski w Poznaniu wystawił ostatnio miłą komedję Bekeffiego „Niesprawiedliwiona godzina". Główne role zagrały z powodzeniem pp. Barbara Ludwiżanka (na prawo) i Janina Porębska.

»ROZKOSZNA DZIEWCZYNA« W KATOWICACH



Piękna operetka Ralpha Benatzky'ego w staranuej reżyserji Józefa Winiaszkiewicza i dekoracjami J. Jaruutowskiego z p. Zofją Barwińską i Stefanem Czajkowskim (na zdjęciu) w rolach głównych zdobyła zasłużone powodzenie.

I. POPIELSKA NA SCENACH BRUKSELI.

Zdolna artystka sceniczna p. Popielska wystąpiła ostatnio w zespole młodych artystów belgijskich w kilku sztukach, spotykając się ze szczerem uznaniem. Największe sukcesy odniosła w „Domu zwierzeń" Duvernois, wystawionym w brukselskim „Theatre Royal des Galeries St. Hubert". Na zdjęciu wynokawcy sztuki, od prawej: p. I. Popielska, J. Kler, Max Peral.



WSPÓŁCZESNOŚĆ W MEDALACH



Od lewej: Z okazji pierwszej podróży M/S „Batory" wybito w medaljerni Adama Nagalskiego w Warszawie pamiątkowe medale proj. art.-rzeźbiarza Józefa Aumillera. — Na konkursie na medal pamiątkowy, rozpisanym przez komitet Budowy Kopca Marszałka J. Piłsudskiego, pierwszą nagrodę uzyskało dzieło art.-rzeźbiarza J. Bandury z Krakowa, a medal odbito w medaljerni A. Nagalskiego.

Kącik praktycznej pani domu

Czy wiecie, że...

meble z czarnego dębu czyści się najlepiej ścierką zmaczaną w piwie, bowiem piwo ogromnie odświeża drzewo; potem należy nadać połysk woskiem, rozpuszczonym w terpentynie.

* * *

mahoniowe drzewo czyści się najlepiej ciepłą wodą z dodatkiem 2—3 łyżek octu. Ścierkę zamoczyć w tym roztworze, wykręcić prawie do suchego i czyścić w kierunku układu słoji; zostawić na 3—4 godziny. Potem lekko natrzeć pastą z wosku i terpentyny. Nigdy natomiast nie czyścić mahoniu esencją herbacianą; przyciemnia ona bowiem drzewo i zabija kolor.

* * *

jasny orzech czyścić najlepiej oliwą jadalną, zmięszaną w równych częściach z terpentyną. Lekko tym płynem zwilżać ścierkę i nacierać w kierunku słoji. Nadać połysk spirytusem denaturowanym.

* * *

emaljowane naczynia czyszczą się znakomicie wilgotną solą. Aby usunąć sądzę z dywanów posypać poplamione miejsca grubo solą, a potem dopiero strzepać. Białe znaki na stołach powstałe na nich przez postawienie gorących naczyń, natrzeć dobrze solą z oliwą. Zostawić na 2—3 godzin o potem zetrzeć i nacierać pastą do mebli.

* * *

maty słomiane czyści się wodą z dodatkiem soli, bo to zapobiega żółknięciu słomy.

* * *

szkło, wypłókane wodą ze solą, robi się przeźroczyste i czyste. — Wazony i flakony szklanne, kryształowe, zanieczyszczone osadem z wody i kwiatów, czyści się najlepiej kawałkami cienko pokrajanych surowych ziemniaków, które wsypuje się na spód, grubo posypuje solą i na nie nalewa do pełna zimnej wody; tak zostawić najlepiej przez noc. Rano wypłókać, ziemniaki wyrzucić, jeszcze raz naczynia przepłókać, a będą czyste i błyszczące.

* * *

OLIWA.

Lakierowanych tacek nigdy nie należy myć wodą z mydłem, bo lakier popęka. Trzeba je czyścić ścierką zmaczaną w oliwie. — Naczynia aluminiowe myć wodą z mydłem, a potem wycierać oliwą. — Zardzewiałe ostrza stalowe czyścić mocno mieszaniną oliwy z miałkim popiołem. — Aby wyczyścić zbrukane pokostowane tapety należy je najpierw zmyć wodą z mydłem, a potem przetrzeć mieszaniną z ciepłej jadalnej oliwy i octu w równych częściach. Tak samo postępować z pokostowanemi i lakierowanemi drzwiami, parapetami u okien i ścianami np. w łazienkach. Na zimno w równych częściach zmieszana oliwa jadalna z octem usuwa z drzewa zadraśnięcia na meblach; trzeba tylko lekko nią nacierać, aż uszkodzenie zniknie, a potem pastą nadać połysk. Jeżeli włosy po trwałej ondulacji zaczną się skręcać zamiast układać w ładne głębokie fale, umyć głowę letnią jadalną oliwą na noc. Rano umyć normalnie, a do ostatniej wody do płokania dodać pół filiżanki octu. — Płócząc jedwabne pończochy dodać do ostatniej wody trochę octu, a będą miękkie i zatrzymują połysk.

Daisy.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA WŁOSKA NA ZIMNO. 10 dkg makaronu włoskiego krótkiego ugotować na 3/4 litra wody osolonej. 1/4 l kwaśnej śmietany rozkłócić z 1 żółtkiem i szczyptą pieprzu, zalać gotujący się makaron, zamieszać i odstawić do ostudzenia. Zupę tę sporządzać można również z szerszego makaronu domowego.

CHŁODNIK Z MLEKA KWAŚNEGO. Pół litra mleka kwaśnego oraz 1/4 l śmietany ubić spiralką od piany, dodać 1/4 l barszczu przegotowanego przedtem i ostudzonego, młodych listków buraczanych również podduszonych i ostudzonych, sporą łyżkę koperku, ogórka surowego skrajanego w plastry. Wszystko posolić, wymieszać i postawić na lód. Przed wydaniem dodać parę twardych jaj, pokrajanych w ćwiartki oraz trochę szyjek rakowych lub drobnych kawałków pieczeni cielęcej.

CIELĘCE CONSOMMEE Z PIECZARKAMI. 12 dkg masła utrzeć na pianę z 3 żółtkami, dodać dwie małe bułki otarte ze skórki, rozmoczone w mleku i wyciśnięte. 30 dkg mielonej pieczonej cielęciny, szczyptę soli i pieprzu, wkońcu pianę z 5 białek. Masę nałożoną do natartej masłem formy budyniowej gotować na parze 3/4 godziny. Pieczarki oczyszczone kraje się drobno, dusi na maśle wraz z pęczkiem zielonej pietruszki, którą się potem odrzuca. Grzybki podprawia się 1/4 l śmietany rozbitej z łyżką mąki. Gotowe consommee wyrzuca się z formy na okrągły półmisek, nakrawa nieznacznie i oblewa pieczarkami; podaje się otoczone młodemi ziemniaczkami lub puré ze starych ziemniaków.

POTRAWKA Z KURCZĘCIA Z CYTRYNĄ (kuchnia dla chorych). Pokrajane na części kurczę wraz z podróbkami dusi się na troszce masła przy częstem podlewaniu rosołem z kości cielęcych. Miękkie mięso wyjmuje się, a sos podsypuje się łyżeczką mąki, dodaje soku cytrynowego, troszkę skórki i nadaje smak szczyptą soli i cukru. Jako dodatek na sypko gotowany ryż lub grysik na gęsto.

OMLETY LUB PASZTECIKI Z MÓŻDŻKIEM. 1—2 cielęcych móżdżków sparzyć wrzątkiem i oczyścić z błon, posiekać i udusić na łyżce masła z troszką siekanej cebulki posolić i popieprzyć. Usmażone poprzednio omlety przekrawuje się na połówki, smaruje masą móżdżkową, składa przez pół, zlepia brzegi białkiem i w ten sposób utworzone pierożki osmaża się z obu stron na maśle. Podaje się z szpinakiem lub każdą inną duszoną jarzyną. **NA PASZTECIKI** przyrządza się w miejsce omletów kruche ciasto z 20 dkg mąki i 15 dkg masła 1 żółtka i 1—2 łyżek kwaśnej śmietany. Szybko zagniecione ciasto powinno spoczywać w chłodzie przez godzinę. Wywałkowane następnie kraje w kwadraty i napełnia móżdżkiem. Wszystkie cztery końce kwadratu zbiera się razem ponad nadzianką, która powinna być widoczna między krajami ciasta. Posmarowane jajkiem paszteciki piecze się w piecyku i podaje gorące jako przystawkę.

KONFITURA Z RÓŻY (dla p. N. K. z Warszawy). — Specjalną różę cukrową koloru niezbyt ciemnego, gdyż ta jest zazwyczaj gorzka, obiera się z żółtych koniuszków i waży czyste obrane różowe płatki. Cukru bierze się cztery razy tyle, ile było róży, więc np. na 25 dkg róży 1 kg cukru. Połowę cukru i różę zesypuje się razem i ugniata na misce rękami tak długo, aż zwilgotnieje i utworzy jednolitą masę, poczem pozostawia się ją do drugiego dnia dobrze przykrytą. Drugą połowę cukru zagotowuje się nazajutrz z dwoma szklankami wody, zbiera piany, wkłada różę i gotuje powoli przez 20 minut, pilnie szumując, potem dodaje się sok z całej cytryny lub pół łyżeczki kwasku cytrynowego i smaży dalsze 5 minut. Przez dodatek kwasu cytrynowego róża uzyskuje piękny kolor i nabiera pikantnego smaku.

Na drugie pytanie, traktujące o ekonomicznem wytapianiu masła, podamy odpowiedź w następnym numerze.

WYTAPIANIE MASŁA NA ZIMĘ. Zwykły sposób wytapiania masła przez długie gotowanie jest przestarzały, nieekonomiczny. Dużo lepszy dla jakości masła oraz oszczędniejszy jest następujący: masło przeznaczone do wytopienia stawia się w grubym garnku do letniego pieca lub na kraju blachy, aby się roztopiło, lecz nie zagotowało, poczem zostawia się je w chłodzie przez noc. Następnego dnia wyjmuje się stężałe z wierzchu masło do naczynia, w którem się ma gotować. Pozostałe, t. j. opadłe na spód części wodniste i serowate można użyć w kuchni do ciasta, klusek, zupy i t. p. Oczyszczone masło gotuje się następnie 15—20 minut, poczem staje się klarowne o pięknym złotym kolorze i miłym zapachu. Przy końcu gotowania należy je posolić. W maśle w ten sposób gotowanem nic nie jest straconem, podczas gdy przy zwykłem wygotowywaniu masła, części serowate przywierają do dna, łatwo się przypalają i są nie do użycia.

Sc. Ko.



WIOSENNE DANIE.

Bardzo smaczne a odrębne od zwyczajnego sposobu podawania szparagów z wody, jest danie wypiekane z beszamelem na ogniotrwałym półmisku. Po wyjęciu z pieca przybrać połówkami jaj na twardo i polać masłem z zieloną pietruszką.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 24 — **Czerwiec** — Dni 30
Niedziela **7** Roberta	Rosół consommee lub chłodnik z jajami. Paszteciki z móżdżków. Młoda gąska z mizerją. Krem kawowy z bitą śmietaną. Kolacja: Zimne mięsa z tatarskim sosem.
Poniedziałek **8** Medarda	Pomidorówka na śmietanie z ryżem. Budyń z wątróbki. Zrazy nelsońskie z jarzynami. Kisiel z rabarbaru. Kolacja: Jaja na szynce.
Wtorek **9** Feliciana	Zupa z młodych jarzyn z płatkami. Sztuka mięsa z sosem szczawiowym. Potrawka z kurczęcia. Ciastka kruche z agrestem. Kolacja: Budyń serowy z serwetki.
Środa **10** Małgorzaty p.	Zupa rakowa z ryżem. Ozorki cielęce lub wieprzowe w pomidorach. Pieczeń wieprzowa z sałatą. Kompot z agrestu. Kolacja: Kwaśne mleko z ziemniaczkami lub kaszą hreczaną.
Czwartek **11** Boże Ciało	Zupa ryżowa z cytryną. Jaja sadzone na szpinaku. Młoda kura pieczona z sałatą mieszaną. Truskawki lub poziomki z śmietaną. Kolacja: Cielęce consommee z grzybkami.
Piątek **12** Onufrego	Barszczyk z młodych botwinek na śmietanie. Kotlety z ziemniaków z sosem ostrym. Karp pieczony z makaronem. Pierożki z czereśniami. Kolacja: Sardynki, sery, rzodkiewka.
Sobota **13** Antoniego Pad.	Zupa grzybowa z śmietaną. Jaja siekane na muszelkach. Kotlety cielęce naturalne z ryżem. Budyń owocowy. Kolacja: Kalafior z masłem.

HOCKI-KLOCKI

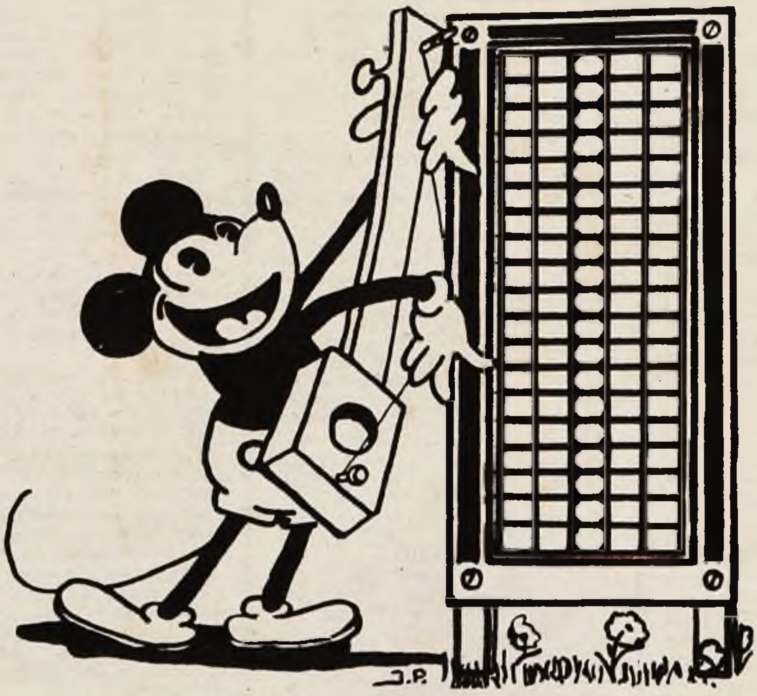
ZNAWCA WYŚCIGÓW



— Mam typ dla pana!
— Dobrze, tylko niech pan pamięta, że moim typem jest blondynka!...

ZAGADKA LITEROWA

Ułożył J. Piękniewski — Łódź.



W puste kwadraty należy wpisać od góry do dołu dziewiętnaście słów, a środkowe ich litery czytane od góry na dół dadzą znane przysłowie. — Znaczenie słów jest następujące:

Ptak żyjący w mokrych okolicach. — Inaczej brama. Mieszkaniec wysp Hawajskich. Inaczej towarzysze, otoczenie monarchy. Wyspa na morzu Śródziemnem. Rodzaj nietoperza. Inaczej turban. — Święty ogień pogan. Inaczej ziemia. — Imię męskie używane w Rosji. Mały koń. Hala targowa. Rodzaj choroby. — Marka aparatu fotograficznego. Taniec staropolski. — Duża ilość gazet lub papierów. Meble z lustrem. — Kawałek drzewa używany do wytyczania. — Część twarzy.

CO KRAJ, TO OBYCZAJ



Anglik: — To tutaj auta jeszcze nie są zmotoryzowane?...

W DOMU POMYLONYCH.

— Co tam za hałasy?

— Napoleon pokłócił się z Aleksandrem Macedońskim, bo Aleksander twierdzi, że on buja, że umarł na Helenie!

ROZTARGNIENIE.

— Widziałem już wielu roztargnionych ludzi, ale takiego jak ten kasjer bankowy, to jeszcze nie widziałem.

— A co on takiego zrobił?

— Uciekł do Ameryki i zapomniał zabrać ze sobą zawartości kasy...

NASTĘPSTWA „SMUTNEJ NIEDZIELI"

— Proszę spojrzeć, wszystko jest wzruszone tem ponurem tangiem! Boję się, żeby się kto nie zabił!

— Ja sam się boję...

— Czego?

— Żebym nie zabił tej obrzydliwie wydzierającej się śpiewaczki...

HUMOR ZAGRANICZNY

NIEPOJĘTNY SŁOŃ



Kinooperator do kolegi: — Wytłumacz-że mu, że my chcemy go tylko sfotografować!...

(Ric et Rac).

(Dokończenie ze str. 5-tej).

łąź przemysłu artystycznego, ale też wiele innych. Jeżeli chodzi o Polskę to większość gobelinów znanych nam współcześnie nosi na sobie wybitnie cechy zachodnie. Jest to bodaj jedyna dziedzina sztuki, na której nasze gusta i zamiłowania wschodnie nie wycisnęły swego piętna. Nie wiadomo zresztą czy okoliczność ta wyszła im na dobre: przecież wpływy wschodu, zwłaszcza Turcji w wielu dziedzinach wzbogaciły nasz gust, wprowadziły nowe, egzotyczne ale niemniej piękne elementy. Wspaniałe są niektóre z tych zabytków, które przeszłość nam pozostawiła. Taki np. goblin robiony na zamówienie biskupa Michała z Olexowa Gniewosza, przedstawiający herby jego przodków i ich żon, jakże piękny jest w kompozycji, jaki skromny a zarazem wytworny w guście! Albo gobelin marszałka wielkiego koronnego Stefana z Pilcy Korycińskiego odznacza się bogactwem dekoracji i ornamentacji. Gobelin biskupa Gniewosza jest obecnie własnością Szweda, hr. Brahe i znajduje się w jego zamku w Skokloster, natomiast kopję jego, nadwyraz wierną i piękną, robioną zresztą, o ile sobie przypominam w Paryżu, widziałem u szambelana Włodzimierza Gniewosza w Warszawie. Napewne niejeden polski gobelin znalazłby się jeszcze zagranicą, gdzie może skatalogowano go jako niewiadomego pochodzenia. Tyleż przecie wojen i kataklizmów cechowało ostatnie wieki naszej historji, że niejeden zabytek znalazł się drogą grabieży wojennej w obcych rękach. Ilość znanych gobelinów jest u nas naprawdę mała, skoro zważymy, że sama Warszawa w XVII wieku posiadała kilkadziesiąt wspaniałych pałaców, wypełnionych zabytkami sztuki a napewno też gobelinami. Były tam wtedy pałace Kazanowskich, Denhoffów, Sobieskich, Paców i wiele innych. A ileż rezydencji wiejskich, ile zamków! Słynna Dowszpuda, zamek Paców, od którego poszło przysłowie, taki Krystynopol, Sieniawa, Działoszyn Męcińskich i tyle innych. Ba! pocóż szukać domów magnackich, kiedy mieszczanin lwowski, wprawdzie bogaty, Melchior Szolc-Wolfowicz pozostawił w swoim domu wśród licznych sprzętów o wartości artystycznej, duże szpalery gdańskie i obicia figuralne. Rewindykowane gobeliny „arrasy", t. j. pochodzące z Arras, będące obecnie na Wawelu, najlepiej wykazują nam bezdroża naszych zabytków, które wsiąkały w cudze zbiory.

Jak w każdej oddawna pielęgnowanej gałęzi sztuk pięknych tak i w zakresie gobelinów istnieją liczne gatunki, odmiany, obserwuje się pewne cechy charakterystyczne, które jednak zrozumiałe są dopiero po dłuższem zżyciu się z samym przedmiotem, i nie nadają się do wspomnienia w krótkim artykule. Niemniej trzeba wspomnieć, że mimo iż większość naszych gobelinów to „importy", to i u nas w fabrykach tekstylnych podskarbiego wielk. lit. Antoniego Tyzenhauza poczęto w XVIII wieku fabrykować rodzaj gobelinów. Upadek Polski i zmienione warunki nie pozwoliły na rozwinięcie tej produkcji.

Jan Malczewski.

NOWE KSIĄŻKI.

Krytyka literacka słusznie zwraca baczniejszą uwagę na debiut prozatorski **Marjana Ruth Buczkowskiego**. Młody autor wydał (nakł. „Roju" w Warszawie), powieść p. t. **„Tragiczne pokolenie"**, w której stara się odzwierciedlić życie i poglądy współczesnej młodzieży i wytłumaczyć tragizm współczesnego pokolenia.

Bohaterem powieści jest młody dziennikarz, który chory na gruźlicę, przebywa od dwóch lat w sanatorjum i pisze tam pamiętnik, poświęcony jego obecnemu życiu, a każdy współczesny bohaterowi przejaw, czy wydarzenia, przypominają mu przeszłość — i w ten sposób powstaje ciekawa kompozycja całości.

Autor powieści wspomina przeżycia wojenne bohatera, który okropności wojny odczuwał jako rzecz normalną i zwykłą, ale którego wojna zdeklasowała. Zdaniem autora, brak twórczej energji i decyzji w szeregach młodzieży przypisać należy właśnie zawierusze wojennej. Nie wszyscy naturalnie zgodzą się z poglądem autora. Książka warta przeczytania.

Śląsk, jego życie, jego wodzowie duchowi i bohaterzy czekają jeszcze na swych autorów. Piękne tu pole do pracy dla młodych literatów i historyków. W pierwszym szeregu młodych pisarzy, którzy poświęcają swe badania naukowe i prace historyczno-literackie, Śląskowi, staje wychowanek Uniwersytetu Jagiellońskiego, mgr. **Mieczysław Tobiasz**, który opublikował **dwie prace, poświęcone bohaterom Śląska**. Są to szkice monograficzne o nauczycielu **Wincentym Janasie i Piotrze Niedurnym**.

Autor pisząc o Piotrze Niedurnym, maluje jego działalność niepodległościową w Nowym Bytomiu i pracę przedpowstańczą, która przygotowywała grunt do zerwania więzów niewoli. Działalność swą okupił dzielny robotnik śląski bohaterską śmiercią. Styl Tobiasza nie pozbawiony jest pięknych literackich walorów, których próbką niech będzie opis śmierci hutnika bohatera. **Niedurnego**, który chciał działać na wolnym już Śląsku, porwała i aresztowała nastawiona na niego pułapka niemiecka.

„Jest już późno, — blisko jedenasta w nocy, — zimny wiatr bije w twarze zlodowaciałym śniegiem. Nie słychać tupotu podkutych butów. Tłumi go biały, miękki jak puch śnieg. Ulica pusta, jakby wymiótł.

Po drodze widziała cały ten dziwny orszak mieszkanka gminy, Andrzejewska. Musiała jednak sama prędko uciekać, bo się bała, żeby jej co złego nie zrobili. Zresztą, kto mógł przypuszczać, że aż tak wszystko się skończy.

Później, już po wszystkiem, mogła tylko opowiadać, że do końca życia nie zapomni wzroku Niedurnego...

Przydrożnych mieszkańców budził tej nocy warkot motoru auta, połączony ze strasznym krzykiem ludzkim. To Becker i jego towarzysze kopią butami Niedurnego i wśród przekleństw mordują go...

Omdlałego, ociekającego krwią, wnoszą, trzymając pod ramię do więzienia w Bytomiu. Dyżurujący tu oficer, gdy go w takim stanie zobaczył, w obawie przed odpowiedzialnością, krzyknął: „Zabierzcie tego chłopca. Róbcie z nim, co chcecie, ja o niczem nie chcę wiedzieć!" Klnąc jeszcze więcej ta sama grupa wniosła Niedurnego z powrotem do auta. Znowu warkot motoru, znowu przeraźliwe krzyki ludzkie budziły mieszkańców przy tej samej drodze Bytom—Szombierki tej nocy...

Nad ranem niedaleko folwarku w Szombierkach znaleziono Niedurnego w śniegu. Był jeszcze ciepły. Stróże folwarku opowiadali że słyszeli w okolicy około pierwszej w nocy kilka strzałów"...

Druga monografja mgra Tobiasza, poświęcona **Wincentemu Janasowi**, którego pomnik wznosi się na miejscu śmierci w Rudzie, niedaleko dzisiejszej granicy polsko-niemieckiej, jako symbol ostatniego posterunku ciężkiej ofiarnej pracy śląskiego nauczyciela dla Polski, pracy okupionej bohaterską śmiercią, — jest również dobrze, z nerwem literackim, napisaną książką, która wraz z innemi pracami jej autora, wzbogaci literaturę o Śląsku.

To warto poznać...



W bieżącym roku święci 80 rocznicę urodzin niewątpliwie najciekawszy ze współczesnych pisarzy dramatycznych, **Bernard Shaw**. Sztuki Shaw'a lubiane są w Polsce i cieszą się tu dużem zainteresowaniem, tak, że niejednokrotnie prapremjery jego dzieł odbywają się w Polsce przed prapremjerami londyńskiemi. I stwierdzić trzeba, że polscy aktorzy umieją grać sztuki shawowskie.

Duże więc zainteresowanie wzbudziła najnowsza sztuka Shaw'a, dopieroco napisana, a grana obecnie przez **Teatr Polski w Warszawie**. Jest to komedja w 4 aktach p. t. **„Miljonerka"**. Sztuka ta jednak przyniosła rozczarowanie wszystkim i krytyka jest niemal zgodna tym razem w ocenie utworu autora „Wielkiego Kramu".

Świetny poeta, Kazimierz Wierzyński, który nie tak dawno poświęcił się teatrowi i zaraz zajął jedno z czołowych miejsc wśród naszych krytyków teatralnych, tak rozpoczyna swe sprawozdanie z „Miljonerki":

„Co to wszystko znaczy? — pyta się widz po „Miljonerce", jak tyle razy pytał się po sztukach Shaw'a i kłopotliwie wzrusza ramionami. Tym razem — niewiele, jeżeli nie nic.

Rozkoszny zamęt shawowski, który zwykle działa tak orzeźwiająco, pobudza naszą myśl i przewietrza głowę, jest w „Miljonerce" chaosem bez natchnienia. Nie elektryzuje i nie niepokoi, o ile wprost nie nuży i nie nęka ociężałem gadulstwem. Sztuka ma stępione żądło złośliwości, osłuchany dowcip i kulejące skoki paradoksów. Naprózno zaglądamy pod powierzchnię zdarzeń, by znaleźć choćby w alegorji jakieś ich wyjaśnienie, naprózno przyjmujemy dosłowną ich wymowę i szukamy w niej sensu. Ani tędy, ani tamtędy...".

Sztuka otrzymała dobrą obsadę, która jednak nie może ocalić sztuki, a aktorzy są w niemałym kłopocie, co robić z narzuconemi im pseudo-rolami. Grają w tej sztuce: Modzelewska, Niwińska, Krzymuska, Wyrzykowski, Pichelski, Kurnakowicz, Solarski, Małkowski, Żukowski.

Teatr na Pohulance w Wilnie wystawił **„Świerszcza za kominem"**, piękne dzieło literackie Karola Dickensa. „Świerszcz za kominem" to jedna z najmilszych sztuk kameralnych, typowa dla angielskiego romantyzmu, gdzie prostota i codzienność życia łączą się z elementem fantastyczności.

Sztuka ta wymaga subtelnej i dyskretnej gry, a przedewszystkiem stonowanej reżyserji. Tych zalet nie posiada jednak wileńskie przedstawienie, bo jak stwierdza miejscowa krytyka, przedstawienie to szło „do Sasa i do lasa".

„Nieusprawiedliwioną godzinę", komedyjkę Bekeffiego, która dzięki wprowadzeniu akcji w środowisko szkoły, podoba się wszędzie publiczności (to samo jest z „Maturą" Fodora), gra również z dużem powodzeniem **Teatr Polski w Poznaniu** z B. Ludwiżanką, J. Porębską i W. Hańczą w rolach głównych. **(b).**



Niedziela, 7 czerwca.

8.00: Audycja poranne.
9.50 Transmisja nabożeństwa z Pl. Pofortecznego w Przemyślu z okazji Diecezjalnego Kongresu Eucharystycznego.
12.15: Poranek muzyczny z Wilna.
15.30: Koncert utworów Jakóba Pucciniego.
16.30: „Międzynarodowe Zawody Konne w Warszawie" — Puhar Narodów — Nagroda Polski".
17.00 „1000 taktów muzyki".
18.00 Słuchowisko oryginalne: „Djabeł" w Teatrze Wyobraźni.
18.13: Koncert w wyk. Wielkiej Orkiestry P. R.
21.00: „Na wesołej lwowskiej fali"
21.30: Utwory na altówkę w wykonaniu M. Szaleskiego.
22.20: Muzyka lekka i taneczna.

Poniedziałek, 8 czerwca.

12.03 Koncert.
16.00: Koncert z Ciechocinka.
17.30: Recital śpiewaczy Konrada Żelechowskiego.
19.30: „Międzynarodowe Zawody Konne".
20.00: Muzyka salonowa oraz piosenki w wyk. Lucyny Szczepańskiej.
20.30: „Hejże na kajaki" — felieton
21.00: Koncert.
22.15: „Wieczernyci" — audycja oparta na motywach ludowych ukraińskich.
23.00: Muzyka taneczna

Wtorek, 9 czerwca.

12.30: Muzyka.
16.00 Koncert w wykonaniu zespołu Wiktora Tychowskiego.
16.45: „Skarby Polski" — „Malarstwo polskie" — odczyt.
17.00: Koncert.
19.00 Koncert rozrywkowy w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.
20.30: „Poezja zapomnianego ludu" — szkic literacki.
21.00: „Tajemnica symfonji niedokończonej" Schuberta — reportaż
22.00: Franciszek Schumann — Trio F-Dur.
22.40: Muzyka lekka i taneczna.

Środa, 10 czerwca.

12.03: Muzyka lekka z basenu w Ciechocinku.
15.45: Wesoła audycja dla dzieci — ze Lwowa.
16.15: Koncert.
17.30: Recital śpiewaczy Tatjany Nolier-Mazurkiewiczowej.
17.50: „Anegdoty z życia Grottgera" — pogadanka.
19.00: Koncert w wykonaniu Orkiestry P. R.
20.00: „Mozajka muzyczna"
20.50: „Wędrówka mikrofonu po prowincji.
21.00: Pierwsza audycja z cyklu „Utwory Chopina w wykonaniu słynnych pianistów".
21.30: „Śmierć przez łzy" — audycja muzyczna.
22.15: Muzyka taneczna

Czwartek, 11 czerwca.

9.00: Transmisja nabożeństwa z Katedry Św. Jana w Warszawie.
13.20: Poranek muzyki operowej
14.30: Transmisja ze świetlicy Tow. Szkoły Ludowej we Lwowie.
15.00: Transmisja z Sierocińca im Marszałk a Piłsudskiego z Warszawy — audycja dla dzieci.
15.15: Małe utwory wielkich mistrzów.
16.00: Koncert z Ciechocinka.
17.50: „Jak wykorzystać słońce i powietrze dla zdrowia dziecka" — pogadanka.
19.00: „Pozytywka" — oryginalna komedyjka radjowa.
19.30: Muzyka polska.
21.00: „Nasze pieśni" — VII aud. z cyklu „Stanisław Moniuszko — pieśniarz".
21.30: Recital fortepianowy Stelli Dobryszyckiej.
22.15: Koncert w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.
22.50: Muzyka taneczna.

Piątek, 12 czerwca.

12.03: Utwory Mieczysława Karłowicza.
16.00: Koncert.
16.45: „Skarby Polski" — „Sztuka ludowa w Polsce" — odczyt.
17.00: Melodje Suppé'go.
19.00: Koncert kameralny.
19.30: Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego.
21.00: Koncert symfoniczny.
22.15: Muzyka taneczna z Ciechocinka.

Sobota, 13 czerwca.

12.03: Muzyka lekka z Ciechocinka.
14.30: Koncert.
15.45: „Muzyka do nas przyszła" — W. Budzyńskiego, wesoła audycja dla dzieci.
16.00: Koncert solistów.
19.00: Muzyka lekka w wyk. Wileńskiej Orkiestry Kameralnej.
19.45: Chór Dana śpiewa piosenki.
20.15: Audycja dla Polaków za granicą: „Sztuka spod strzechy zdobywa Polskę"
21.00: Utwory skrzypcowe w wykonaniu St. Mikuszewskiego.
21.30: „Sprzedam kamień" — humoreska radjowa w pięciu dialogach.
22.15: Muzyka rozrywkowa.
23.00 Muzyka taneczna z kawiarni „Café-Club".

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego Magazynu »As«, zamieszcza Redakcja bezpłatnie.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.